ROK 59 WE LWOWIE, 1 LUTY 1937 R. Nr. 2

ŁOWIEC ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

JÓZEF BIRKENMAJER

Czy Mickiewicz znał „Pieśń o żubrze“ Mikołaja Hussowczyka?

W XX tomie „Dzieł“ Jana Kasprowicza (Pisma prozą t. II, str. 83—108) przedrukował prof. Stefan Kołaczkowski rozprawę poety-profesora, noszącą tytuł „Mikołaja Hussowskiego Pieśń o żubrze i Pan Tadeusz“. Rozprawa ta była inauguracyjnym wykładem Kasprowicza na uniwersytecie, a w tekście nieco rozszerzonym ukazała się w „Słowie Polskim“ w r. 1913, skąd ją przedrukowało jeszcze jedno z pism polskich.

Wycinki tego przedruku wypożyczył mi w r. 1925 poeta, gdym opracowywał jakąś obiecaną ś. p. prof. Kallenbachowi rozprawkę o Hussowskim. Ciekaw jestem dzisiejszego losu tych wycinków (czy są w bibliotece poety w Poznaniu?), gdyż pamiętam, że na marginesach i w tekście było tam wiele poprawek i uzupełnień, świadczących, iż Kasprowicz przygotowywał rozprawę do ewentualnego druku w oddzielnym tomie studiów naukowych, mającym ponadto pomieścić „Trzy motywy“: „Motyw przyrody w poezji angielskiej“ (druk w „Myśli narodowej“ nr 2—8 z r. 1926), „Motyw Cencich w literaturze światowej“ i „Motywy prometejskie w literaturze światowej“; dwa ostatnie studia po dziś dzień nie doczekały się druku (podobnie jak inne jeszcze prelekcje naukowe Kasprowicza) — sądzę, że należało by spełnić serdeczną wolę ich autora i wydać rychło te prace drukiem, zwłaszcza że jak wnoszę z pobieżnego co prawda przeglądania ich przed kilkoma laty, mają one niepoślednią wartość naukową.

—o—

Ale nie projekt owej edycji, ani nie pragnienie uwzględnienia poprawek autorskich w tekście prelekcji o Hussowskim, jest przyczyną, dla której chcę tu się zająć tą rozprawą. Chodzi mi o rzecz inną: o tezę zasadniczą, wypowiedzianą przez poetę-prelegenta i zaznaczoną już w samym tytule prelekcji. Tezą tą jest uderzające i zastanawiające istotnie podobieństwo pewnych szczegółów opisowych, narracyjnych i emocjonalnych w „Pieśni o żubrze“*) Hussowczyka i Mickiewiczowskim „Panu Tadeuszu“.

*) Posługuję się tym tytułem — a raczej skrótem tytułu — nie tylko dlatego, że używa go stale sam tłumacz Kasprowicz, ale i dlatego, że tytuł ten dokładnie i ściśle odpowiada łacińskiemu oryginałowi: De bisonte carmen (pełny tytuł: De statura, feritate ac venatione bisontis). Wcale mi nie trafiły do przekonania wywody jednego z uczonych polonistów, który dostawszy do rąk fragment Kasprowiczowskiego przekładu, ogłoszony przeze mnie w „Łowcu“, usiłował dowodzić, jakoby pieśń Hussowczyka była nie o żubrze, lecz o ...turzie (!!) Wspomnę, że tura Hussowczyk wzmiankuje pod nazwą urus. Podobnie czyni Kromer; żubra zaś nazywa bisons vel zuber.

„Miałem wrażenie (pisze Kasprowicz) ...że analogii szukać należy u Mickiewicza i to w pokrewnych ustępach Pana Tadeusza, zajmujących się życiem borów litewskich“.

Na poparcie tego sądu Kasprowicz cytuje cały szereg ustępów analogicznych z obu poematów. Nie będę cytat tych powtarzał, bo zajęłoby to dużo miejsca, a wobec dostępności tekstu byłoby zgoła zbyteczne. Przytoczę tylko ostateczne wnioski autora rozprawy:

> Duch poematu Hussowskiego jest także duchem czwartej księgi „Pana Tadeusza“; pokrewieństwo obrazów w jednym i drugim utworze niemal oślepia, a przecież nie ma wątpliwości, że Mickiewicz „Pieśni o żubrze“ znać nie mógł. Poza darowanyw w roku 1853 Bibliotece petersburskiej egzemplarzem księdza Małyszewicza, istniał za czasów Mickiewiczowskich jeden tylko egzemplarz krakowskiego druku, egzemplarz Michała Juszyńskiego, w r. 1798 przekazany Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. rzypuszczenie, że jeden lub drugi egzemplarz mógł się znajdować w rękach Mickiewicza, byłoby może zbyt dowolne...

Otóż w niektórych przytoczonych tu informacjach Kasprowicza znalazły się pewne nieścisłości. Najważniejszą jest to, że poemat De bisonte zachował się nie w „dwóch“ tylko egzemplarzach, jak to mylnie za edycją Pelczara powtórzył Kasprowicz; egzemplarzy tych jest kilka, a za czasów Mickiewicza mogło być jeszcze więcej. Omyłkę Pelczara sprostował już w r. 1895 Michał Jezienicki (Eos, str. 97, nn); zwrócił on uwagę m. in. na egzemplarz z r. 1523, zachowany w Bibliotece Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie (8⁰ 28 kart, sygn. 6.048). O innym egzemplarzu Carmen de bisonte czytamy w „Janocianach“ (Varsaviae et Lipsiae 1776), na str. 126: Quae (scil. elegia, bo tak ze względu na formę wierszową nazwano tu poemat Hussowskiego) ab Hieronymo Vietore anno Domini MDXXIII forma 8 est excusa: e publica autem Bibliotheca Zalusciana a litterato quodam raptore, poetaque ipso praecellenti, modo astutissimo ablata... — Kim był ten „wybitny poeta“, który tak umiłował książki, że aż je kradł chytrze, domyślać się tylko można...

Za Janockim cytowali szczegóły o Hussowskim Bentkowski (1814), ks. Juszyński (1820) i Michał Wiszniewski (Lit., t. 6, str. 229 nn); dwaj ostatni nie tylko zajmowali się dociekaniem na temat biografii poety (myli się Kasprowicz, mniemając, że przed Pelczarem nikt u nas o Hussowskim nie pisał), ale co więcej, cytują urywki poematu w przekładzie polskim, są więc poniekąd po-

przednikami samego Kasprowicza*). To wszystko jest jasnym dowodem i przestrogą dla uczonych, że nie można ferować zbyt pochopnych przypuszczeń co do istnienia lub nie istnienia egzemplarzy jakiegoś dzieła, o którym wiemy z tych czy innych źródeł lub tradycji. Zdarzają się czasem odkrycia i niespodzianki: znajdzie się jakiś tekst czy odpis czy egzemplarz, o którym dotąd nie wiedziano czy zapomniano. Gdy chodzi o druk Vietorowski zawierający „Pieśń o żubrze“, to na początku w. XIX — za czasów Juszyńskiego i Mickiewicza — nie tylko mogło, ale i musiało być tych egzemplarzy więcej, niż ich znamy obecnie.

O jednym conajmniej z nich możemy twierdzić niemal n a p e w n o, że istniał i to nie gdzie indziej, ale w samym Wilnie, dokładnie w tym czasie, kiedy Adam Mickiewicz był studentem tamtejszego uniwersytetu.

Dowodów na to możemy wskazać kilka.

W r. 1830 (a właściwie jeszcze w 1829, bo wobec okoliczności druku i cenzury napewno zachodzi tu wypadek antedatowania) ukazała się w Wilnie książka, której pełny tytuł brzmi: N a t u r h i s t o r i s c h e S k i z z e v o n L i t h a u e n, V o l h y n i e n u n d P o d o l i e n, i n g e o g n o s t i s c h - m i n e r a l o g i s c h e r, b o t a n i s c h e r u n d z o o l o g i s c h e r H i n s i c h t e n t w o r f e n v o n E d u a r d E i c h w a l d, d e r M e d i c i n Dr. U. P r o f., d e r k a i s e r l. A c a d e m i e d e r W i s s e n s c h. z u St. P e t e r s b., d e r k a i s e r l. L e o p. C a r o l A c a d d e r N a t u r f o r s c h. U. A. G e l. G e s e l s c h. C o r r e s p. o d. w i r k l. M i t g l. — M i t d r e i L i t o g r a p h i r t e n T a f e l n. W i l n a. A u f K o s t e n d e s V e r f a s s e r s, i n C o m m i s s i o n b e i L e o p o l d V o s s i n L e i p z i g, g e d r u c k t b e i J o s e p h Z a w a d z k i 1830.

Otóż na frontispisie tego okazale wydanego dzieła (egzemplarz posiada Biblioteka Publiczna w Warszawie) widnieje wielka rycina przedstawiająca żubra, sygnowana: I. Moszczyński in lap[ide] del[ineavit], przy niej zaś znajduje się napis:

H a e c f e r a l i t h u a n i s l o n g e s a e v i s s i m a s y l v i s n a s c i t u r...

Znamy dobrze słowa tego napisu. Wzięte one zostały nie skąd inąd, ale z C a r m e n d e b i s o n t e Hussowczyka (vv. 51—52, wyd. Pelczara str. 10). Rytownik powtórzył go dosłownie, zmieniając tylko przymiotnik L i t p h a n i s na bardziej utartą formę l i t h u a n i s. Już sama cytata świadczy, że dzieło Hussowskiego musiało być znane w Wilnie przed r. 1830 czy 1829, że musiał je mieć dawniej przed oczyma artysta rysujący postać żubra, drukarz Zawadzki, starannie jak zawsze obmyślający szatę graficzną wydawanej przez siebie książki, a wreszcie i uczeni autorowie dzieła. Piszę o uczonych autorach w liczbie mnogiej, gdyż z łaskawej informacji udzielonej listowną drogą przez prof. Władysława Szafera wiem, że „cały materiał umieszczony w tej książce zebrali inni badacze, a zwłaszcza Antoni Andrzejowski, zaś Eichwald, mając duże stosunki, dość bezprawnie i bezceremonialnie zrobił się jedynym autorem tego dzieła“.

Ale mamy jeszcze inny dowód, że egzemplarz poematu Hussowskiego D e b i s o n t e znajdował się w latach 20-tych ubiegłego wieku w Wilnie. Oto w tekście N a t u r h i s t o r i s c h e S k i z z e, począwszy od str. 241, snuje się opowiadanie o postaci, obyczajach i dzikości żubra, tak swą treścią, jak i wyrażeniami nader przypominające poemat szesnastowiecznego humanisty polskiego. Nie będę się bawił w długie zestawienia; dla przykładu tylko przytoczę te słowa opisu (str. 244—245):

Man sieht selten die Auer an der offenen Strasse, weil sie sich vor jedem Geräusch verbergen und in den Wald zurückziehen. Sie sind eher furchtsam, als dreist zu nennen... nur gereizt fallen sie Menschen an... Anfangs schütteln sie bloss ihre Mähne, drohen mit den Hörnern und dringen endziel selbst auf den Menschen ein. Ist der Auer zornig, so streckt er seine bläuliche Zunge drohend vor, zieht sie wieder hinein, wedelt eben so drohend mit der Schweife, während seine Augen stark gerötet vordringen und funkelnd hin und her rollen...

Na te same szczegóły i objawy — nawet w słowach podobnych — zwracał uwagę czytelnika Hussowski:

Barba [bisontis] riget late pendentibus horrida villis,
lumina terrorum plena furore rubent,
terribilesque jubae*) collo funduntur in armos
et genua et frontem et pectoris ima tegunt...
Saevitiâ superans animalia cuncta vel aequans,
humano generi nil nisi laesa (scil: fera) nocet;
maxima inest tantum propriae custodia vitae
majoremque animo fingere nemo potest...
Et minimos retro strepitus cautissima signat,
auribus attribuens terga tuenda suis...
Non tamen in quemquam temere, licet obvia, saevit...

Można by jeszcze wielokrotnie mnożyć dowody, że poemat Hussowskiego o żubrze litewskim był dobrze znany p r o f e s o r o m uniwersytetu wileńskiego, tym, którzy pod firmą Eichwalda współpracowali w ułożeniu owej wielkiej niemieckiej księgi przyrodniczej, wydanej w Wilnie. Ale czy znajdziemy jakie dowody, a choćby poszlaki, że poemat ten znany był — M i c k i e w i c z o w i?

Pewne dowody ukazał już prof. W. Szafer w artykule „Rosochate pomniki“, zamieszczonym w Kurierze Poznańskim“ z dnia 13 II 1935 (nr 71). Pozwolę sobie przytoczyć in extenso odnośne jego słowa:

Adam Mickiewicz nazwał po raz pierwszy sędziwe drzewa p o m n i k a m i, podnosząc je tym określeniem do rzędu pamiątek przeszłości, godnych szacunku i ochrony narówni z ręką ludzką tworzonymi p o m n i k a m i naszej historycznej sławy. Trudno powiedzieć bez przeprowadzenia szczegółowszych studiów, czy nazwanie przez Mickiewicza starych drzew p o m n i k a m i było

*) Nawiasowo nadmienię, że na nich nie wyczerpuje się lista tłumaczy Hussowczyka. Po Kasprowiczu przełożył (niezależnie od niego) cały poemat o żubrze dr. Michał Dadlez; przekład ma wielką wartość artystyczną i zasługiwałby kiedy na ogłoszenie choćby częściowe. Fragmenty innych utworów Hussoviana przełożył autor niniejszego artykułu, który ponadto uzupełnił własnym piórem kilka opuszczonych lub całkowicie zamazanych wierszy w odczytanym przez siebie rękopisie Kasprowiczowskiego przekładu „Żubra“.

*) Ta broda i grzywa świadczą najwyraźniej, że wbrew mniemaniom uczonego polonisty, Hussowski w swym poemacie mówi nie o jakimś turze, lecz o żubrze. Także i brunatna maść sierści wspominana jest tu niejednokrotnie. Tur nie miał grzywy ani brody, a maść miał płową. W wieku szesnastym, jak zgodnie świadczą ówcześni pisarze, był już niemal wytępiony w Polsce.

jego własnym pomysłem. W każdym razie warto zaznaczyć, że nieco wcześniej przed naszym wieszczem nazwa ta użyta była w takim sensie przez sławnego podróżnika i przyrodnika, Aleksandra Humboldta. W sprawozdaniu z podróży do Wenezueli, ogłoszonym w języku francuskim w r. 1819, opisał on olbrzymie drzewo... najstarsze i najpotężniejsze w tym kraju ...i nazwał je pomnikiem przyrody (monument de la nature). Nie ulega wątpliwości, że w kołach uniwersyteckich Wilna do których należał Mickiewicz, dzieła Humboldta były czytane, on sam zaś cieszył się tu wielką popularnością.

Jako dowód tej sławy i wziętości Humboldta w Wilnie, prof. Szafer wskazuje fakt, że gdy na wiosnę r. 1830 wielki uczony niemiecki wracał z wyprawy naukowej przedsięwziętej na Ural, uniwersytet wileński zaprosił go na uroczystą sesję Towarzystwa Literackiego, którego Humboldt był członkiem. Wtedy to właśnie, podczas wspomnianej sesji, wręczono mu — zadedykowane przecie jego zasługom i umyślnie dla niego pisane po niemiecku — owo wielkie dzieło o przyrodzie Litwy, Wołynia i Podola, wydane pod firmą czy redakcją Eichwalda.*)

Dużo można by pisać o tym, co Mickiewicz zawdzięczał Humboldtowi, jak cenił jego pisma, jak się w nich rozczytywał. Potrącił o ten temat Józef Kallenbach (Adam Mickiewicz, 1918, II, 302), ale pospieszył zaznaczyć, że nie może się nad nim „szczegółowo zastanawiać", zwłaszcza że należało by się oprzeć na krytycznym wydaniu prelekcji paryskich z obszernym komentarzem hermeneutycznym". Nie będąc specjalnym znawcą dzieł Humboldta, wolę i ja trud ten pozostawić osobom bardziej powołanym (przede wszystkim profesorom K. Górskiemu, Pigoniowi, Płoszewskiemu i Życzyńskiemu), zwłaszcza, że się on z tematem moim bezpośrednio nie wiąże.

Ważniejszą byłoby rzeczą wskazanie, czy Mickiewicz znał ową księgę, którą uniwersytet wileński wręczył Humboldtowi.

Twierdzić, czy znał, nie możemy, ale przypuszczać mamy wszelkie prawo. Nasuwać to przypuszczenie może zawarty w tej księdze opis puszczy Białowieskiej (str. 247), mający niejakie — choć dość blade — pokrewieństwo z opisem puszczy w „Panu Tadeuszu". Ale o wiele bardziej uderzą nas takie wiersze w Mickiewiczowskiej „Drodze do Rosji":

> Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
> jak gdyby wczora dopiero stworzona,
> a przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,
> żeglarz przybyły z falami potopu,
> i mową obcą moskiewskiemu chłopu
> głosi, że dawno stworzone te kraje...

Otóż wiersze te są niemal dokładnym streszczeniem wykładu zawartego na str. 239—241 „Naturhistorische Skizze", a dającego opis Rosji w epokach pierwotnych:

> Dieselben Gegenden besassen in der Vorwelt riesenartige Vielhufer, so die tapirartige Lophiodonten und Elephanten etc. etc.

*) Myli się trochę prof. Szafer, wspominając, że dzieło to jest „ozdobione wizerunkiem żubra według rysunku N. Hussowczyka" (może błąd druku?) Rysunek litografowany przez I. Moszczyńskiego, ma inne pochodzenie. Objaśnienie w tym względzie daje sam Eichwald, lub ktoś z jego współpracowników, na str. 254: „Das Titelkupfer stellt unsern Auer dar, nach dem Leben gezeichnet von dem geschickten Thiermaler, H. Jankiewicz, der mich auf meiner Reise begleitete" (podkreślenia moje).

Co więcej poeta jakby czyni wyraźną aluzję do ksiąg przyrodniczych mówiących o przeddziejowych czasach obszarów cesarstwa rosyjskiego:

> A przecież nieraz książka ukradziona
> lub gwałtem wzięta, przybywszy z Zachodu,

Książek takich wiele przybyło z ziem polskich zabranych przez Rosję, wiele nawet z Wilna. Ale czy pomiędzy tymi książkami zawędrowało do Petersburga dzieło poświęcone Humboldtowi przez uczonych wileńskich i czy zdążył je tam poznać poeta, który w maju 1829 wyjechał do Rosji? To wątpliwe, więc raczej można by przypuścić, że o nim zasłyszał, albo że je poznał już na emigracji, przed pisaniem „Dziadów" drezdeńskich.

Ale czy koniecznie trzeba mniemać, że Mickiewicz dopiero drogą okrężną, przez wileńską księgę uniwersytecką ofiarowaną Humboldtowi, skierował swą uwagę na poemat łaciński Hussowskiego o litewskim żubrze? Czyż nie prościej będzie przyjąć, że poeta poznał utwór polskiego humanisty — i to piewcy sławy lubego mu Witołda — już znacznie wcześniej, a to bezpośrednio, przez Grodka czy Borowskiego, czy z zachęty wyczytanej w podręcznikach Bentkowskiego i Juszyńskiego, przez bibliotekę wileńską za lat swoich studiów uniwersyteckich?

W każdym razie twierdzenie, jakoby „Mickiewicz Pieśni o żubrze znać nie mógł", nie jest niczym poparte. Owszem, wiele jeszcze przemawia za tym, że mógł ją znać, a nawet, że znał ją napewno.

Należy między innymi mieć to w pamięci, że właśnie w latach uniwersyteckich Mickiewicza, a następnie w latach początkowych jego pielgrzymstwa, dających mnóstwo różnorodnych podniet twórczych „Dziadom" drezdeńskim i „Panu Tadeuszowi", ukazało się ponadto wiele innych książek, w których była mowa o żubrach, przyczym nierzadko wspominano i poemat Hussowskiego. Prócz wzmiankowanych już historyków literatury (Juszyński, Bentkowski i in.) będzie tu szedł Niemcewicz ze swym zbiorem pamiętników, dalej Jarockiego głośna praca „Żubr oder der lithauische Auerochs" (Hamburg 1830), a także sześciotomowa zoologia („zwierzętopismo") tegoż autora, wydawana od r. 1819 w Warszawie. Ale najważniejszą dla nas — i najbardziej wymowną pozycją będzie słynna „Nauka łowiectwa w dwóch tomach przez Ignacego Bobiatyńskiego*), kandydata filozofii" drukowana w Wilnie, i to również w drukarni Zawadzkiego, niemal jednocześnie z drukującymi się tamże dwoma tomikami poezyj Mickiewicza: tom bowiem pierwszy tej „Nauki" wyszedł w r. 1823 (cenz. 11 X 1822), drugi w 1825 (cenz. 11 XII 1824). Byłoby może kiedyś rzeczą ponętną stwierdzić, czy Mickiewicz korzystał (i w jakiej mierze) z tego dzieła myśliwskiego, kreśląc wspaniałe opisy przyrody i łowów w „Panu Tadeuszu". Na razie stwierdzić łatwo rzecz jedną, dla nas ważną: Bobiatyński

*) Bliższe wiadomości o Bobiatyńskim i jego dziele podał niestrudzony historyk naszego łowiectwa, kapitan Józef Wł. Kobylański, w przypisach do książki Tadeusza Turkowskiego „Materiały do dziejów literatury i oświaty z lat 1805—1865, z archiwum drukarni i księgarni Józefa Zawadzkiego", — Wilno 1935.

znał dobrze, z pierwszej ręki Carmen de bisonte Hussowczyka, za tym książka ta znajdować się musiała w tamtejszych księgozbiorach, najpewniej w bibliotece uniwersyteckiej, może i w zbiorach samego księgarza Zawadzkiego, skoro właśnie w jego publikacjach niejednokrotnie powtarza się nazwisko i wiersze tego łacińsko-polskiego poety. Bo jak Eichwald z kolegami, tak i Bobiatyński już na samym czele swego dzieła zamieścił motto z poematu o żubrze. Tym razem był to wiersz:

Tu melius scribes, ego tendam fortius arcum...

Faktem więc niewątpliwym jest nie tylko obecność conajmniej jednego egzemplarza „Pieśni o żubrze“ w bibliotekach wileńskich (niestety po powstaniu listopadowym wywiezionych w głąb Rosji i tam rozsypanych po miastach prowincjonalnych) — ale też ogromna ówczesna popularność tego poematu w tamtych stronach, zupełnie zrozumiała ze względu na jego treść wybitnie regionalną. W każdym razie może pozwolimy sobie na tę ostrożność i mimo wszystko orzekniemy: znajomość poematu De bisonte Carmen przez Mickiewicza jest faktem bardzo prawdopodobnym, ale tymczasowo pozostanie tylko bardzo mocnym przypuszczeniem, póki nie ugruntuje tego przypuszczenia jakiś znak zupełnie przekonywujący, a więc odnalezienie się owego wileńskiego egzemplarza „Pieśni o żubrze“, z którego korzystali Bobiatyński i Eichwald z towarzyszami, oraz jakiejkolwiek wzmianki o Hussowczyku w pismach Mickiewicza lub jego przyjaciół. W sprawie pierwszej apeluję do badaczy pamiątek wileńskich, w sprawie drugiej do edytorów sejmowego wydania dzieł Mickiewicza.



STANISŁAW KRASICKI

Łowiectwo w Iranie

(Ciąg dalszy).

Tygrys trzyma się ściśle miejsc zamieszkałych przez marale i razem z nimi odbywa wędrówki. Trzeba nadmienić, że tym przywiązaniem nie entuzjazmuje się maral.

Jeżeli jesteśmy już przy felidach, to trzeba nadmienić, że w Mazanderanie są rysie. Rozmiarów podać nie mogę, rzadkością żadną nie są, lecz w każdym razie grubo rzadsze od pantery, której jest w całym Iranie poddostatkiem i której skóry są do dostania w nieograniczonej ilości w sklepach futerniczych.

Dżungla mazanderańska jest podobno bardzo silnie nasycona maralami. Niestety nie widziałem ani razu wieńców za mej bytności w Iranie, któreby były warte jakiejś pochlebnej wzmianki.

Nie należy z tego wyciągnąć wniosku, że nie ma grubych byków, względnie że nie zostały one upolowane, a to z tego powodu, że myśliwy irański nie ma zwyczaju kolekcjonować swych trofeów. Polowanie kończy się z chwilą strzału a zaczynają skutki na talerzu. Nie obarcza się ścian wspomnieniami najpiękniejszych chwil życia.

Poluje się na marale podczas rykowiska na skrajach dżungli, wabiąc rykiem byka. Podobno górale mazanderańscy z niesłychaną maestrią już nie ryczą, ale rozmawiają, wychwalają skonsumowane wdzięki domniemanych bogdanek, przebąkują coś o zdradach, doprowadzając do pasji i do myśliwego wyłaniającego się z gąszczu marala. Poluje się też w zimie na podchodnego. Jest podobno i drugi rodzaj marala, pochodzący z dżungli mazanderańskiej a żyjący na pobrzeżach błotnistych rodzaju naszego Polesia pustyni Achraf. Dzięki zmianie otoczenia, dzięki zmianie warunków bytu. — gdyż przymusowo jak to się okaże później — zmieniwszy gonne drzewostany na karłowate jakieś błotniste drzewa dochodzące jedynie 175 cm, zaczął niepokojąco górować nad otoczeniem i być stale widoczny nie tyle on sam ile peryskopem swych wieńców. Więc natura wybawiła go z tej górującej sytuacji i kazała róść wieńcom nie w górę lecz na boki. Wygląda to trochę na łacinę, jednak znowu powołuję się na mego informatora Dr Stumpa. Jelenie zawędrowały w tą krainę dosyć odległą od dżungli mazandreńskiej w XVII wieku na skutek polowań urządzanych przez Schach Abaza. Schach będąc pasjonowanym myśliwym a nie mogąc przeniknąć dżungli, ustawił się sam na pustyni, by mieć dobry wystrzał a jakieś niezliczone tłumy Persów naganiały na niego zwierzynę Mazanderanu. W tym kraju wszystko jest możliwe, gdyż wszystko jest ogromne.

Dżungla mazanderańska jest pełną rogaczy, dzików, których waga ma dochodzić podobno do 500 kg, wilków, lisów, zajęcy i ptactwa.

Na górach nie zalesionych, na tych pozornie gołych skałach roi się od koziorożców (ibexów).. Dochodzi on swą wielkością muła, ma zakrzywione w tył rogi, żyje stadami, oddzielnie trzymają się koziorożce od kozic a je-

dynie w czasie godów razem spacerują po górach. Ten okres przypada na koniec grudnia. Liczebność widzianych stad waha się w cyfrze od 3 do 500 sztuk. Jeżeli spotyka się przypadkiem pojedynczego, to należy nie oglądnąwszy nawet rogów natychmiast strzelać. Taki pojedynek to stary samiec, którego rogi są zawsze rekordowe. — W lecie polowanie na ibexy jest bardzo utrudnione, gdyż trzymają się one pod samymi szczytami, na wysokościach zawrotnie wielkich. W zimie, względnie pod koniec jesieni, gdy śniegi zmuszają je do zejścia niżej, polowanie jest tym samym wielce ułatwione. Ibex ma być bardzo głupi, niestety z tą głupotą nie danem mnie było się spotkać i jej na swój sposób wykorzystać.

Drugą zwierzyną tych gór to muflony. Nauczyłem się już sam wyszukiwać góry, w których z matematyczną pewnością można powiedzieć, czy są zamieszkane przez ibexy czy przez muflony. Góry Iranu mają to do siebie, że jeden i ten sam łańcuch, nawet lepiej, jedna i ta sama góra z jednej strony jest skalistą a z drugiej usypiskiem. Otóż ibex zamieszkuje jedynie skały a muflon części usypiskowe.

W Iranie są dwa rodzaje muflonów. Jeden to najcenniejszy muflon himalajski Argali, dociera jedynie w pasmie Elburs — które jest przedłużeniem Himalajów — do Mechedu, miasta leżącego na północy Iranu, oddalonego o paręset kilometrów od granicy afgańskiej. Argali jest grubo większy od zwyczajnego muflona rozsianego po górach Iranu, ma długą brodę i wielkie kilkakrotnie zakręcone rogi. Zarówno on jak i zwyczajny muflon są bardzo ostrożne i czujne i zawsze stado jest pod opieką wystawionych czujek, które ostrzegają o zbliżającym się niebezpieczeństwie odgłosem, którego nie mogę sobie przypomnieć a blagować nie chcę.

Zarówno na ibexy jak i muflony poluje się rankiem przy wodopojach, względnie na podchodnego w górach. Największy ibex jaki padł w Iranie, miał rogi wysokości 55.5 in., zastrzelony przez nie żyjącego już bardzo wielkiego myśliwego — w prawdziwym tego słowa znaczeniu — Mostawi Mamalek a drugi o wymiarach 54 in. przez Dr Stumpa. O rekordowych rogach muflonów nie zdołałem zebrać żadnych danych.

W górach Louristanu w zachodniej części Persji, zamieszkuje niedźwiedź wielki brunatny, dochodzący do 3.50 m, oprócz niego prawie w całym Iranie jest dużo małych niedźwiedzi szarych. Poznałem inż., Norwega, który jednej zimy w wolnych chwilach od wytyczania linii kolejowej zastrzelił 56 niedźwiedzi!

Królewska zwierzyna będąca w dawnych czasach bardzo liczna — lwy — do niedawnych czasów była uważaną za wytępione. Tym czasem inżynierowie europejscy mieli w zeszłym roku spotkać dwa lwy w pustyni Arabestanu.

Najliczniejszą zwierzyną Iranu są gazele. Widziałem gazele nie dalej od Teheranu niż 5 km, a nie bliżej od drogi, po której przejeżdżają samochody niż w 20 m. Na pustyni gazele łączą się w stada nawet paręset sztuk liczące. Najliczniejsze stado, jakie widziałem liczyło 8 sztuk. Oprócz gazeli normalnej jest też — ale bardzo rzadka — gazela mała wielkości zająca, podobnie do niego znaczona, żyjąca na górze Siaku (Czarna Góra) w pustyni słonej Djibir.

By zakończyć ustęp o czworonogach, wyliczę jeszcze dzikiego osła wielkości bardzo dużego muła o włosie długim, jedwabistym, koloru beige. Odznacza się kolosalnym łbem, oraz bardzo wysokim kopytem przekraczającym 20 cm, wewnątrz pustym. Żyje w tabunach do 50 sztuk na pustyni słonej Loud, jest bardzo przebiegły, ma doskonały węch. Podglądanie dzikiego stada osłów daje obraz ciągłej walki, kopania, gryzienia i kwiczenia. Podobno u zastrzelonych sztuk widziano ślady zgrubień kończyn, wskazujące na to, że były połamane a po tym się zrosły. Poluje się na dzikie osły konno, ich bieg jest powolniejszy od galopu końskiego. W chwili odpowiedniej strzela się. Trofeum: wspaniała skóra, czaszka i puste kopyto. Dziki osioł podobno broni się przed myśliwym doganiającym go na koniu w ten sposób, że w biegu dokalibrowuje do swego pustego kopyta odpowiedniej wielkości kamień i bije nim w swego prześladowcę. Skłonny jestem przypuszczać, że to blaga, jednak zapewniano mnie o tych zdolnościach rusznikarskich dzikiego osła, więc relata refero.

Z drobnej zwierzyny czworonożnej roi się od zajęcy, małych lisów koloru szarego, bardzo brzydkich, oraz szakali.

Iran jest, sądzę, eldoradem dla ornitologa. Może tu pławić się w najrozmaitszych rodzajach ptactwa zarówno błotnego jak i stepowego.

Najwyżej cenionym ptakiem jest kuropatwa królewska, zamieszkująca wysokie skaliste góry, wielkości indyka, koloru szaro-beige z białym lustrem pod ogonem. Jest nie tyle rzadka, ile ciężko ją upolować z powodu wysokości, w których przebywa. Następnie jest kuropatwa skalna, koloru czarnego, z czerwonymi łapkami i dziobem. Mała kuropatwa Teihu w pasmie Elburs. Kuropatwa czarna jedynie w pustyni. Dropie trzech gatunków, w jesieni i w zimie można je spotkać wszędzie z wyjątkiem gór. Największym dropiem jest drop syberyjski, następnie mniejszy i trzeci najmniejszy.

Po tych wstępnych opisach przejdę do mych, niestety, tak nielicznych polowań w Iranie, nie uwieńczonych żadnym rozkładem.

Muszę na początku objaśnić, że jadąc do Iranu, nie miałem listów polecających do kół myśliwskich a w samym Iranie miałem wprawdzie znajomego inżyniera, Polaka, lecz niestety nie myśliwego. Pomimo tego pierwsze zaczepienie myśliwskie zawdzięczam inż. Schmittowi a następne daleko idącej uprzejmości i serdeczności radców naszego poselstwa pp. Głogowskiego i Telatyckiego.

Pierwsza moja wyprawa dwudniowa była urządzona przez dwóch młodych myśliwych irańskich oraz radcy poselstwa egipskiego. Celem były ibexy i muflony z ubocznym dodatkiem kuropatw. Wybraliśmy się Fordem spiderem we czterech, obładowani jedzeniem i kocami oraz różnokalibrową bronią w ilości bardzo poważnej, jedną tylko kulową.

Właściciel samochodu gnał na swym Fordzie z dziwną zgrabnością po tych góralskich drogach najeżonych coraz to nowym zakrętem, coraz to nową serpentyną. Na noc zatrzymaliśmy się w przydrożnej wsi góralskiej, na wysokości jakichś 1.800 m. Jeszcze za dnia moi towarzysze z wędkami w ręku biczowali bez rezultatu wartki, pieniący, huczący potok górski. Po tym nudnym dla mnie

oczekiwaniu końca zabawy, wzięliśmy z sobą nasze rzeczy i poprzedzani miejscowym góralem a do tego rodzajem wójta, udaliśmy się do jego domu. Warunkiem nieodzownym założenia wsi w tym kraju, zarówno w górach jak i dołach jest woda. Ponieważ mało tej wody, więc wsie i miasta są rzadkie, stosunkowo duże i przylepione do skał w nieprawdopodobnych miejscach. Ilekroć w tym zawsze beznadziejnie szarym kolorycie gór z daleka się zoczy zieloną plamę, można być pewnym, że gdzieś koło niej jest wieś górali perskich. Bardzo często wskutek jakichś nieznanych mi powodów woda zanika, wtedy następuje emigracja i cała wieś szuka sobie nowej siedziby. Dla tego też widzi się nie rzadko opuszczone, duże wsie. Domy budowane są z gliny pomieszanej z słomą, względnie z kamienia spojonego gliną. Dachy płaskie przywalone głazami. Okien i drzwi właściwie nie ma. Są otwory bardzo szerokie, którymi się wchodzi do wnętrza, które są albo przesłonione matą, albo też zastawione szeregiem wąskich drągów. Używa się jaknajmniej drzewa przy budowie, gdyż jak już wspomniałem, lasów nie ma. Natomiast prawie każdy góral ma poletko z zasadzoną topolą, tak gęsto jak szkółkowane siewki. Rośnie to na redlinach pomiędzy którymi przepływa sztucznie sprowadzona woda. Po 15 latach topola daje materiał budowlany o pierśnicy od 10 do 20 cm.

Ludność góry żyje z uprawy roli, to znaczy kamieni nawadnianych, z wychowu owiec i kóz, oraz z wyrobów dywanów, kalamkarów i innych zdobniczych przedmiotów ręką wyrabianych. Jak mogłem stwierdzić, ludność irańska jest biedna, mocno zacofana i bez najmniejszych potrzeb życiowych. A mogliby w tym tak bogatym kraju, słabo zaludnionym być naprawdę zamożni, nie czują jednak potrzeby zmiany losu.

Po kilkuminutowym chodzie, z wzrokiem pełzającym po kamieniach, ostrzegającym nogę przed wsadzeniem w niezliczone rozsiane pasztety nad rzeką (religia pozwala wiernemu tylko nad rzeką), wchodzimy między zabudowania, które dzięki swej szarzyźnie, brakowi drzwi i okien oraz niesymetrycznej budowie, robią wrażenie jakichś nie zamieszkałych, walących się ruder. Przestępuję wysokie, bo przeszło metrowe progi chałupy i tam staję jak wryty. W tym otoczeniu biednym, z ścianami wylepionymi tylko gliną, bez sufitu, bez krzeseł, poprostu trzy ściany i więcej nic, na klepisku rozścielono dla nas dywany. Nie wiem, czy w Polsce znajdę tak ładne, jak te na których tam spałem u wójta wsi, której nazwy nie znam, a która prawdopodobnie jest bezimienna. Zaraz zabraliśmy się do jedzenia przywiezionego z sobą, do doskonałych melonów, tak soczystych, że trudno je zjeść, gdyż za każdym ugryzieniem całe strugi płyną w łokcie, a tak słodkie, jakby były przed tym specjalnie cukrem macerowane. Po zjedzeniu siedliśmy na samochód, wzięliśmy z sobą dwóch górali i pojechaliśmy na łówkę pstrągów. Łowienie pstrągów w sieć wymaga dużej sprawności. Sama sieć o drobnych oczkach ma kształt koła o średnicy półtorametrowej. Brzegi sieci są obciążone ciężarkami. Naokoło obwodu sieci biegnie sznur, który ją ściąga, zamyka jak sznurek od worka do rzeczy od mycia. W miejscu, gdzie są spodziewane pstrągi, staje się na brzegu, zbiera się całą sieć jedną ręką i środek jej trzyma w zębach. W lewej ręce trzyma się koniec linki a prawą ręką silnym rzutem wachlarzowato rzuca się na wodę. W ten sposób ciśnięta sieć w chwili opadania na wodę przybiera swój kształt koła i nakrywa pstrągi pod nią będące. Teraz nagłym ruchem lewej ręki ściąga się linką dolną krawędź obwieszoną ciężarkami i ma się jednego, względnie kilka pstrągów w sieci. To wygląda tak barzdo prosto, ale wykonanie jest diablo trudne, tym bardziej, że ma się do czynienia nie z dnem płaskim lecz górskim potokiem najeżonym kamieniami na wszystkie strony. Ten rodzaj łówki jest o tyle dobry, że nie trwa długo. Po kilkunastu rzutach mieliśmy kilkadziesiąt pstrągów i — nazad na perskie dywany.

(C. d. n.)



ZBIGNIEW HABDANK-CZARKOWSKI

Noc wigilijna

Księżyc snuł się czarowną baśnią Andersena...
świerków bieluchnych
schylone postacie
skrzyły się puchem
jak mnichy
w ornacie.

Smereki butne
dla rodu odznaki
włożyły harde
śnieżne kołpaki,
lśniły księżycem
głów pióropusze,
aż się dąb-praszczur
skrył pod kontuszem
i tylko guzy
z liści purpury
błyszczały z dala
rubinów sznurem.

Księżyc spłaszczył na ziemi rozłożyste cienie,
idyllą światła najrozkoszniej marzył,
skrzył się,
promieniał,

w drzew zaglądał twarze,
ciekawie wświecał w gęstwie mateczników
zaczaił się nad brzegiem
potężnego jaru,
potem przebiegł jak sarna

i w taflach się leśnych uśmiechał strumyków.
Dwanaście razy zdala zawył
wilk —

....północ...

Cisza srebrzysta błąkała się w borze
bezszelestnym ptakiem
i tylko echo błyszczące wśród śniegów
zygzakiem
światłem śmigało
i cicho w głębi
cieniów
konało.
Księżyca seledynowy strzęp się światła urwał,
leciał na ziemię,
tęczą migotał,
aż dostał skrzydeł
lśniących od złota,
spłynął po światła
rozdrganej fali
i siał blask komet
podniebnej dali.

I stało się tak cichutko
jak w raju, gdy Bóg duchy
na puchach ukołysze
a potem w snach okrywa
ich idealną ciszę.

Księżyc się znowu świetliście rozmarzył
a jego światłem jak w struny Wenedów,
grało dwunastu skrzydlatych harfiarzy:

Jezus się mały
dzisiaj narodził
w lichym żłóbeczku,
w lichej zagrodzie,

gdzie Betlejem
nikła mieścina,
tam teraz płacze
boska Dziecina.

Sama uboga
rączką bogatą
pokój rozdziela
całemu światu

Kres wszystkich cierpień,
kres wielkich bólów
w żłóbku naznacza
mały król królów.

I dla was zwierząt
czasy też nowe,
w północ wigilii
zyskacie mowę.

Więc zewsząd razem
zejdźcie się w borze
i chwalcie mową
Dzieciątko Boże!

Stadko saren leciuchno przemknęło aleją,
cień dzika chrzęstem znaczył ciężki bieg,
lis jak zwykle myszkował,
wąchał poprzez śnieg,
wydrapał z głębi
rozespaną mysz,
wsadził ją na puszystą kitę
i wędrował przez znane sobie ścieżki skryte;
ryś ze żbikiem szli w jednej parze,
tuż za nimi niedźwiedź się rozgwarzył,
jaźwiec, znany samotnik
i konserwatysta
zbudził się i szedł z zającem,
(choć zwykle go uważał
o zgrozo — za chłystka!)
dalej wędrowały niezliczone tłumy;
wiewiórki,
jelenie,
łasice i kuny
łosie, daniele, króliki
i znów stada saren
i znów chmurą dziki,
orły, gawrony,
wróble, jastrzębie,
sowy zbudzone
w dziupli na zrębie
i zewsząd zdala
spieszyły tłumy
a śnieg się puszył
i las się cieszył
poszumem.
Aż zajaśniała
polana jak scena,
gdzie zbór się odbywał
i księżyc zaklęty
snuł się czarowną baśnią Andersena.

Uciszyła się ciżba, co stała dokoła
a dąb — stary kapłan
przy ołtarzu wołał:

„Młody byłem naonczas — tak — młody,
budził mnie jeszcze do życia rozbawiony świat,
młody byłem — cóż, prawda
miałem sześćdziesiąt cztery tylko lat
a zima była wtedy jak dzisiaj
bieluchna,
lecz taka jakaś dziwnie
pamiętam — ciepluchna
i księżyc taki jak dzisiaj.

Pamiętam; tego czasu
szedł jakiś dziwny poszum przez gęstwinę lasu,
nikt z nas dębów nie wiedział niczego z daleka
a przecież marzył o czymś
i czegoś czekał,
aż....

Zaszumiało gęstwiną od brzegów do głębi,
zatrząsł się w żyłach las prawieków stary
i ojców mych potężne zgrzytały konary,

szedł Duch,
szedł Anioł
i wieścił Boga wiekowi nowemu.

A hen w oddali
za puszczy rubieżą
świeciła wielka gwiazda Betlejemu,
gdzie Bóg mały leżał....

„Ojcze — wyrwał się głosik
malutkiej sarenki —
widziałeś Jezuska, gdy był tak maleńki?
jakie miał oczka, nóżki?
czy biegał daleko?“

„Jak wyglądał — pytała ciekawie wiewiórka
miał futerko?
a chodził po drzewach?“

„Co też ty wygadujesz —
stary lis strofował“.

„Spokój dzieci“ — dąb szepnął —
ustały pogwary
i cisza znowu zaległa grobowa.
„Ten Bóg, moje dzieci, na sianku leżał,
w żłóbku mizernym płakał,
z ptaszkami się bawił.
a za to, że pierwsze mu szczerze współczuły,
takie zwierzę jak wy
błogosławił
a potem rósł —
widziałem
nauczał
słyszałem
pokój niósł światu i miłość
i ja wam dzieci....

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Tu szum przebiegł drzewami
i szept szedł przedziwny
przez bory puchem spięte;
w powietrzu drgało
bosko — wspaniało
misterium lasu święte.

Uklękła ciżba
i znowu cisza
lśniła się śniegu skrami
i snuła seledynową smugą
ponad wierzchołkami.

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Zdala zawył wilk...
i puszczyk zachichotał...

Skończyła się już baśń,
rozpłynął w mgłę zbór zwierząt
i w puszczy wniknął jaźń.

I tylko puchy śniegu
lśniły diamentową pieśnią
i las dumał jeszcze
i szumiał coś we śnie...

Została samotna polana
Jak złotej wizji scena.

— — — — — — — — — — — —

Tylko księżyc długo rozsrebrzał się wkoło
i snuł czarowną baśnią Andersena...

Pannie Kazimierze
Grzymała - Dzierżanowskiej
poświęcam



Polowanie na rysia

Jesienny wiatr wiał po przez ścierniska drobnych pól i pędził suche liście z pobliskiego lasu. Czyste górskie powietrze było ostre, czuło się zbliżającą zimę. Byłem wtedy w Marmarosz-Sziget. Ciągło mnie stąd gwałtownie w góry do dzikich ostępów, do pierwotnych lasów, gdzie jeleń i niedźwiedź, mają swoje legowiska.

Przesycony polowaniem na ptactwo wodne i błotne, kaczki i bekasy, gdzie często polujący równo ze mną lis padał także ofiarą, rzuciłem wreszcie worek ze śrutem w kąt i chwyciłem formę do lania kul, której zakurzony wygląd świadczył, że oddawna nie była w użyciu.

Wesoło pociągały nosem i kiwały ogonem moje dwa pieski, czując odmianę i zdawały się mówić: — I my mamy już dosyć tej włóczęgi po trzcinach i mokradłach.

W ostatnich dniach września w r. 1850, udałem się w górę rzeki Cisy w stronę Boczko-Raho, gdzie w jednej z dolin miał mieszkać sławny na całą okolicę myśliwy. — Chciałem z nim omówić możliwości zapolowania na grubego zwierza.

Po wielu poszukiwaniach odnalazłem jego chatę zbudowaną z drzewa na spadzistym zboczu tuż pod lasem. — Wielki gończak zameldował basem moje przybycie, przy wtórze dyszkantu małego jamniczka.

Na moje spotkanie wyszedł z chaty wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, ubrany w strój miejscowych górali, o ciemnej ogorzałej twarzy, w której od pierwszego wejrzenia można było wyczytać poważne przejścia i która wzbudzała szacunek. Długie, czarne, na skroniach już nieco siwiejące włosy okalały pociągłą twarz o szlachetnych rysach, atletyczne plecy okrywał kudłaty kożuch barani.

Uprzejmym gestem zaprosił mnie do wejścia do chaty, do której z niejakiem nabożeństwem wszedłem jako do mieszkania znakomitego myśliwego, którego sława daleko sięgała. Na ścianach dosyć obszernej izby wisiały trofea zdobyte w ostatnich czasach w postaci skór wilczych, lisich i niedźwiedzich, kilka silnych wieńców jelenich, oraz kilka sztuk broni.

Wnet zawiązała się między nami rozmowa o celu mego przybycia. Ciemne jego oczy rzucały błyski z pod krzaczastych brwi, widziałem, że z przyjemnością zgadza się na moje plany. Mówił po niemiecku z wybitnie cudzoziemskim akcentem. Coraz więcej zagadkowo przedstawiał mi się ten człowiek, którego maniery i sposób wyrażania się rażąco odbijały od jego chłopskiego stroju.

Na jego twarzy od prawego ucha popod szyję aż do brody ciągnęła się wielka blizna, o którą miałem zamiar zapytać się przy sposobności i coś nie coś dowiedzieć się o przeszłości mego gospodarza.

Gdy mu wspomniałem, że radbym zapolować na niedźwiedzia, zapytał mnie czy już kiedy byłem na takim polowaniu. Odrzekłem, że jeszcze nie spotkałem się w lesie z niedźwiedziem, ale pragnę gorąco nawiązać z nim stosunek, mając przy sobie swój sztucer i kniejówkę. To, zdaje mi się, dosyć mu się podobało.

— A więc chętnie pomogę panu do tego, jeżeli uda się pan ze mną głębiej w góry, gdzie przedwczoraj widziałem trop starego niedźwiedzia i jeżeli pan zechce ponieść koszty nagonki, złożonej z kilkunastu chłopów.

Naturalnie zgodziłem się na to z przyjemnością. Z tym rozstaliśmy się. On poszedł szukać chłopów do nagonki, ja zaś na dół do wsi, aby tam w jedynej starej karczmie nocleg uzyskać.

Podniecony, nie mogłem doczekać się świtu, i ledwo na wschodzie ukazała się jedna smuga, już wstępowałem w próg nieznajomego w chłopskim przebraniu o salonowych manierach. Wyszedł mi naprzeciw w otoczeniu około 15-tu naganiaczy, uzbrojonych w siekiery i pałki, ubranych dosyć fantastycznie o fizjognomiach nie budzących na pierwszy rzut oka zaufania. Dopiero po dłuższym z nimi obcowaniu, odkrywało się u nich duży stopień dobroduszności.

Chcąc zyskać ich sympatię i pobudzić ochotę myśliwską, poczęstowałem ich wódką, poczem raźno ruszyliśmy z miejsca. Po drodze rozgadali się. Ten miał gdzieś widzieć ogromnego niedźwiedzia, ów zaś kolosalnego jelenia, słowem każdy chciał swym opowiadaniem zainteresować obcego pana. Nie przykładałem żadnej wagi do tych opowiadań i postanowiłem poddać się zupełnie temu, co mój milczący towarzysz zarządzi.

Po czterogodzinnej wędrówce doszliśmy nareszcie do celu. Po zarządzeniach, które mój przewodnik z blizną wydał, przekonałem się o jego myśliwskim doświadczeniu i rozwadze. Ponieważ wiatr był dla nas strzelców niepomyślny, poprowadził nagonkę o duży kawał dalej i tam ich rozstawił. Moje psy zatrzymano na smyczy, ponieważ mały jamnik posiadał znakomity wiatr, a goniąc powoli na swoich krótkich nóżkach, nie płoszył zbytnio zwierza i wogóle dlatego, że ta rasa psów uważana jest podobno za wroga śmiertelnego niedźwiedzia.

Stałem z moim służącym na końcu leśnej polanki za grubym bukiem, w połowie zbocza góry wysokiej około 1200 stóp, której szczyt był ukoronowany wielkimi blokami granitu, w szczelinach, których można było spodziewać się legowiska tych drapieżców.

Chociaż byłem pewny, że w wypadku, jeżeli bogini Djana będzie dla mnie łaskawą i niedźwiedź ukaże się w odległości strzału mej broni, ręka mi nie zadrży, ani oko mgłą nie zajdzie, to jednak stałem w febrycznym podnieceniu, które jednak z czasem uspokoiło się, gdyż w całym otoczeniu panowała cisza, tylko wiatr szeleścił rzadkimi już liśćmi na drzewach. Stałem bez ruchu przeszło dwie godziny, gdy odezwał się pode mną głos goniącego psa, który coraz się przybliżał i naraz przebiegł przez polanę w najszybszym tempie zwierz, wielkości średniego psa, któremu natychmiast posłałem kulę. Czułem, że nie chybiłem, jednak zwierz ten zniknął wkrótce pomiędzy skałami na grzbiecie góry.

Poszedłem na strzał, widziałem dziwny nieznany mi trop. Zwierz farbował obficie, nie mógł więc daleko iść. Zawołałem na mego towarzysza i opowiedziałem mu o przygodzie. Zaledwo rzucił okiem na ślad, zawołał ucieszony:

— Panie! Strzelał pan do rysia, tego dostaniemy z pewnością.

Tymczasem zjawił się jamnik i pobiegł do góry za tropem, aż naraz przy skałach zaczął skomleć i rozpoczął straszny lament, że nie może dalej zwierza gonić. Podobnie zachował się jeden z moich psów, którego puściłem i który z pasją pobiegł za tropem rysia.

Przyszedłszy na miejsce, przekonaliśmy się, że do żlebu, do którego schronił się ryś, tylko z wielką trudnością dostać się będzie można. Ale praktyczny myśliwy znalazł na to radę. Najmłodszego z naganiaczy posłał do najbliższej wsi za grzbietem góry, aby przyniósł linę, długą co najmniej na 7 sążni.

Musieliśmy czekać na jego powrót, urządziliśmy więc obozowisko, racząc się przyniesionymi prowiantami. — Podczas tego skromnego posiłku przerwał mój towarzysz milczenie tymi słowy:

— Ubiłeś pan rzadkiego nawet w tej dziczy zwierza. Dłużej niż 25 lat poluję w tych ostępach. Corocznie ubijam zwykle jednego, ostatnio zaś dwa rysie. Przy tych o mało nie skończyło się to katastrofą dla mnie.

Odchylił włosy z karku na przód głowy. — Widzi pan tę bliznę? — Rzeczywiście była straszna.

— Było to w końcu marca ubiegłego roku, gdy w północnej stronie od mojego domu obchodziłem rewir, aby znaleźć barłóg niedźwiedzicy, która w tej okolicy od dłuższego czasu przebywała. Zamiast niedźwiedzicy, znalazłem trop rysia na śniegu. Następnego ranka zastawiłem żelaza na dwóch przesmykach i miałem to szczęście, że zaraz w pierwszym dniu schwytał się w nie ryś. Żelazo trzymało go wysoko za przednią łapę. Chwyciłem za siekierę, aby go dobić. Po pierwszem uderzeniu zwierz wydał zgrozą przejmujący krzyk, i w tejże chwili uczułem bolesny chwyt za głowę, kark i pomimo grubej guni, na plecach i biodrach.

To był drugi ryś samiec, który w czasie rui szedł za tropem rysicy i usadowił się na drzewie, pod którym ona w żelazach siedziała.

Szalonym bólem oszołomiony, nie mogłem znaleźć mego noża. Z całym tedy wysiłkiem, chwyciłem ponad moją

głową zwierza za szyję, dusząc go. Trwało dosyć długo zanim uwolniłem moją głowę od jego zębów, podczas gdy pazury tkwiły ciągle jeszcze w moich barkach i biodrach. Już siły zaczęły mnie opuszczać, gdy uczułem, że uścisk rysia wolnieje. Chwilę potem dokończyłem go uderzeniem siekiery.

Zdjął gunię i koszulę, i pokazał mi strzaszliwe ślady tej walki. Tylko stalowe muskuły tej herkulicznej postaci mogły podołać takiej walce i wyjść z niej zwycięsko.

Tymczasem wrócił wysłany chłop z przyniesioną liną, na której spuszczono jednego z naganiaczy z jamniczkiem pod pachą do żlebu. Zaledwie piesek stanął na ziemi, zaczął głosem gonić aż do miejsca, gdzie leżał już zupełnie wyczerpany ryś. Wołoch wrzeszczał z uciechy i dobił zwierza uderzeniem kamienia.

Wyciągnęliśmy najpierw rysia, a potem naganiacza z jamniczkiem. Ryś był wyrośniętym samcem i ważył 57 funtów.

Zrobiła się ciemna noc, gdy dobiłem do mojej kwatery w karczmie. Zaprosiłem mego towarzysza wyprawy na wieczerzę, którą on chętnie przyjął. Przy butelce Burgunda stał się nieco rozmowniejszy. Gdy zapytałem go jednak o jego nazwisko, odrzekł:

— Nazywam się Dymitr, mego rodowego nazwiska nigdy panu nie wyjawię. Zostaw mnie pan w spokoju, chcę nieznany i zapomniany umrzeć w tych górach. Jedź pan szczęśliwie, a wróci pan kiedy w te strony, to wie pan, gdzie mnie szukać.

Wstał uścisnął moją dłoń i kroczył w ciemną noc do swej chaty.

Na drugi dzień wiodła mnie długa droga na północną stronę Karpat.

Von Ferdinand Freiherrn von Wiedersperg.
„Jagd und Reiseskizzen“.
Spolszczył w dowolnem tłomaczeniu
Stanisław Barabasz.



Uroczystości 30-lecia Wlkp. Związku Myśliwych

W dniu 24 stycznia z okazji 30-lecia zasłużonego Wielkopolskiego Związku Myśliwych odbył się w Poznaniu szereg uroczystości, które rozpoczęto wspólną Mszą św. o godz. 10-ej w kaplicy Najśw. Serca Jezusowego przy pl. Nowowiejskim 1. O godzinie 11,30 miała miejsce w Białej sali Bazaru piękna akademia jubileuszowa, na którą przybyli gremialnie członkowie Związku i liczni goście, wśród których zauważyliśmy z pośród przedstawicieli władz: dowódcę O. K. gen. Knolla, prezesa S. A. Szyszko, prezydenta m. Więckowskiego, starostę Podhorodeńskiego, prezesa Dyrekcji Poczt Wallnera z gości zagranicznych: reprezentanta Wielkiego Łowczego Rzeszy Niemieckiej gen. Goeringa i „Reinchsjaegeramtu“ księcia Loewensteina oraz konsulów państw obcych z konsulem francuskim Dutard na czele, a poza tym pp.: w zastępstwie nieobecnego prezesa gen. K. Sosnkowskiego — prezesa honorowego Polskiego Zw. Łowieckiego hr. Bielskiego, prezydenta Ziemstwa Kredytowego J. Żychlińskiego, ks. O. Czartoryskiego z Baszkowa, ambasadora Chłapowskiego z Bonikowa, senatora prof. Ohanowicza, gen. Unruga, radcę Kazimierza Żychlińskiego i hr. Skórzewskiego.

Na wstępie „Pobudkę łowiecką“ oraz „Marsz Spalski“ wykonała straż łowiecka ks. O. Czartoryskiego z Baszkowa, po czym płk. Chłapowski prezes Wlkp. Zw. Myśliwskiego powitał zebranych. Po przywitaniu chór „Hasło“ pod kierownictwem prof. Raczkowskiego wykonał szereg pieśni myśliwskich. W dalszym ciągu akademii, nadleśniczy p. inż. Martyniec wygłosił treściwy referat o historii 30-lecia istnienia organizacji oraz odczytał depesze od nieobecnego prezesa Polsk. Zw. Łowieckiego gen. Sosnkowskiego i list od Pana Władysława Janta-Połczyńskiego.

Następnie p. Hańcza art. Teatru Polskiego recytował fragment z „Legendy Tatr“ Tetmajera. Fanfary w wykonaniu baszkowskiej Straży łowieckiej zakończyły piękną uroczystość w Bazarze, która zgromadziła elitę myśliwców wielkopolskich oraz szereg myśliwców i znakomitych hodowców z całej Polski.

O godz. 13-tej nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy łowieckiej w domu Poznańskiego Banku Ziemian przy ul. Podgórnej 10, w salonach dawnej Giełdy Zbożowej, którego dokonał w zastępstwie gen. K. Sosnkowskiego prezes hr. Bielski. Otwarcie wystawy poprzedziły trzy przemówienia: płk. Chłapowskiego prezesa Wlkp. Zw. Myśliwych, prezesa hr. Bielskiego oraz księcia Loewensteina, który zaprosił równocześnie myśliwców polskich na międzynarodową wystawę łowiecką, która odbędzie się w listopadzie b. r. w Berlinie. Po dokonaniu oficjalnego otwarcia wystawy, zgromadzeni zwiedzili ją, zachwycając się pięknym dorobkiem wielkopolskiego łowiectwa. Szereg eksponatów posiada charakter wybitnie naukowy, np.: kolekcja ptaków-drapieżników polskich. Zainteresowanie ogólne budziły wspaniałe kolekcje jelenich rogów, szabel dzików, oraz kilka czaszek turzych. Estetyczna dekoracja sal wystawowych kilimami oraz obrazami na tematy myśliwskie i zielenią podnosi całość, uwypuklając pracę i zasługi organizatorów pięknej wystawy.

O godzinie 15-tej odbył się w ramach uroczystości jubileuszowych wspólny obiad w restauracji bazarowej dla zaproszonych gości a wieczorem o godz. 22-ej reprezentacyjny „Bal Myśliwych“ w Białej Sali Bazaru, który należy zaliczyć do najbardziej udanych wieczorów w tegorocznym karnawale.

Dziennik Poznański.



ANTONI PISULIŃSKI

Krokodyl afrykański

(Ciąg dalszy).

Dopiero później dowiedziałem się, że jako trofeum — uważać należy skórę, ale skórę właściwą (zdatną do rozmaitych wyrobów galanteryjnych) a nią jest tylko podbrzusze wraz z podgardlem, podczas gdy pancerz, cały ogon i wszystkie sztywne części — są bezwartościowe. Wobec tego przy ściąganiu należy ją nacinać tam, gdzie pancerz się kończy, t. j. po bokach cielska, odrzucając wszystkie części twarde, nie dające się wyprawić.

Przy tej sposobności wyjaśnić muszę, że woń piżmowa, która w jakiś czas po ubiciu płaza wydobywa się z jego cielska — pochodzi z gruczołów, ukrytych pod skórą w okolicy otworu odbytowego. Woń ta — szczególnie w okresie godowym — jest tak silna i dusząca, że murzyni — zresztą bardzo wytrzymali na najprzykrzejsze zapachy — jej nie znoszą. To też ci nieliczni amatorowie mięsa krokodylowego z pośród tubylców, aby zabezpieczyć części jadalne od tej woni — gruczoły te zaraz wycinają.

Podróżujący drogami wodnymi Afryki środkowej, mogą nieraz wyczuć tę woń na pewnych odcinkach, zwłaszcza w czasie ulew letnich, na który to czas — wedle opowiadań tubylców — przypadają właśnie gody tych jaszczurów. Jaki jest jednak ich przebieg, nie zdołałem od nich żadnych szczegółów się dowiedzieć.

Częścią jadalną krokodyla jest ogon. Potężny ten muskuł — po oskórowaniu — przedstawia się jako solidny kawał mięsa o odcieniu biało-różowawym, bardzo podobnym do mięsa niektórych, większych ryb. Ma być nawet bardzo smaczne — notabene — o ile nie przeszło wonią piżma. Jest to opinja nietylko tych czarnych, którzy w nim gustują, lecz także i Europejczyków — bez uprzedzeń. Podobno i jaja krokodyle (bardzo podobne do jaj gęsich) są wyborne; sam jednak nie mogłem się do nich nigdy przekonać, jakkolwiek nasi wioślarze czarni bardzo mi je zachwalali.

Krokodyle — jak wiadomo — wywodzą się z jaj, które składa samica — na odpowiednich, piaszczystych ławicach, zazwyczaj pośrodku rzek i jezior — do dołków, umyślnie w tym celu wygrzebanych, w liczbie od 60 do 100 sztuk. Dołki te mają głębokość około 50 centimetrów i są tak zmyślnie wśród trzcin ukryte, że tylko bardzo bystre oko murzyńskiego fachowca, zdoła je odnaleźć. Jest to rzeczywiście nie byle jaka sztuka, są one bowiem (po zasypaniu piaskiem) dokładnie z otaczającym je gruntem wyrównane, co — jak twierdzą tubylcy — dokonuje samica ogonem, zacierając również swoje własne ślady, do nich prowadzące.

Podobno mają rodzice w pobliżu tych gniazd pilnować, aby jakie zwierzę do nich się nie dobrało, osobiście jednak tego nie stwierdziłem, jakkolwiek uczestniczyłem wiele razy przy poszukiwaniach za jajami — i to ze skutkiem. Czarni o tem nigdy nie wspominali. Zresztą interwencja starych krokodylów możliwąby była jedynie w porze nocnej, gdyż dołki z jajami są dość daleko od brzegów i na pewnem wzniesieniu wygrzebywane (w przewidywaniu możliwego przyboru wód) zaś krokodyle w dzień nigdy na tę odległość od wody się nie oddalają. W każdym razie wszędzie tam, gdzie gniazda z jajami zostały wykryte — ani bytności tych płazów w pobliżu, ani ich śladów na piasku — nie dostrzegłem.

Składanie jaj ma miejsce w tej szerokości geograficznej Afryki, gdzie przebywałem, (t. j. między 13 a 18 stopniem połud. szerokości) — w porze t. zw. suchej po ostatnim wylewie wód, odkąd już przez kilka miesięcy w nizinach ani kropla deszczu nie padnie. Piecza wygrzewania jaj pozostawiona jest dobroczynnemu słońcu, które nigdy nie zawodzi.

Gdy czas wykluwania się krokodyląt nadszedł, samica rozgrzebuje dołek, pomaga maleństwu wydobyć się ze skorupek, po czym prowadzi je do wody, gdzie się nimi jakiś czas opiekuje.

Jak taki akt wprowadzenia młodych krokodyląt w świat się odbywa, ilustruje gadka, jaką słyszałem w okolicy delty Zambezy, którą opowiadał wieczorem przy ognisku — obcym kafrom z gór*) stary rybak miejscowy, taki fachowiec od poszukiwania jaj krokodylich. — Otóż samica, która wie dokładnie, kiedy małe krokodyle są już zdolne do opuszczenia jaj, wychodzi nocą do gniazda, rozgrzebuje dołek i pazurami rozdziera miękkie już skorupki, ułatwiając maleństwu wydobycie się z krępujących je więzów.

Małe to towarzystwo, a jest ich conajmniej kilkadziesiąt, zbiera się koło matki. Tuli się do niej, a ona je ciałem swem ogrzewa, a gdy dostatecznie obeschły i stały się ruchliwsze — zaczyna od nich się oddalać — cofając się tyłem ku wodzie. Cal po calu usuwa się w rzekę; wreszcie tylko głowa pozostaje widoczna.

Towarzyszące matce maleństwa znalazły się nagle przy wodzie. Nieznany, mokry żywioł je przeraża. Zaczynają się cofać.

Wówczas stara zanurza się znowu — tym razem całkowicie. Bezradne krokodylęta plączą się nad brzegiem. Dotykają chłodnej cieczy, ale wzdrygają się przed nią. — Zbiera ich strach ogromny, bo matki nie widać.

Po chwili głowa z wody się wychyla. Stara rozwiera szeroko paszczę i czeka. Teraz krokodylęta już gwałtowniej ku głowie się cisną, a ona je łagodnie do wody strąca, zmuszając je tym sposobym do pływania, poczem ośmielone już maleństwa — na grzbiecie matki gromadnie się sadowią. Ale dużo ich jeszcze pozostało na brzegu.

Więc matka powtarza znowu ten sam co przedtem — manewr. I znowu większość pozostałych na brzegu decyduje się na przykrą kąpiel, aby tylko znaleźć się przy ciele rodzicielki, podczas gdy najbojaźliwsze — nie mogąc zwalczyć wstrętu do wody — włażą do otwartej paszczy.

I oto paszcza się zamyka, a z nią i życie tych niedołęgów, które matka uznała jako niegodne jej opieki.

Pożarła je.

— — — — — — — — — — — — —

Tego rodzaju gadki kursowały i w innych okolicach nadzambezyjskich, z pewnymi jednak warjantami, ale wszystkie nie odbiegały wiele od powyższego opowiadania.

C. d. n.

---

*) Znają krokodyla tylko z opowiadań — większych wód się obawiają, obca też jest im sztuka pływania.

JAROSŁAW HUBALEK

Cygan „Mykita“

(Ciąg dalszy).

Pewny siebie, zbliżył się Cygan do złamanej korony świerkowej. Na śniegu leżała stara sarna z otwartą jamą brzuszną i straszliwie poszarpaną szyją. Widocznie napastnik powalił ją nagłym skokiem z góry, gdy przechodziła swym stałym przesmykiem. Zwyczajem wszystkich mięsożernych, rozpoczął ucztę otworzeniem brzucha, aby dać ujście gazom i zabezpieczyć mięso od zepsucia. A musiał mieć setny apetyt, skoro pożarł obie pieczenie i cały prawie czomber.

Cygan stał nad resztkami sarny i, choć głód mu skręcał wnętrzności, jeszcze się namyślał. Przezorność jest matką mądrości! Wszystkie zmysły ręczyły jednak za bezpieczeństwo, rozpoczął więc ucztę. Urwał spory kawał mięsa i znów nasłuchiwał, znów wietrzył. Nieznośnie długą zdała mu się taka przerywana wieczerza, lecz nie mógł w żaden sposób uspokoić mimowolnego lęku przed tym nieznanym olbrzymem, co potrafi powalić taką wielką sarnę. Żeby nie głód, wolałby być w tej chwili w odległości paru kilometrów od jego tropu...

Zajadał w najlepsze, gdy nagle do jego uszu doszedł słabiutki odgłos, coś — niby chrupnięcie gałązki. Odgłos tak nikły, że człowiek nie byłby w stanie go złowić, a nie każde zwierzę zwróciłoby nań uwagę. Ale Cygan ma zmysły wyostrzone, jak brzytwy. Drgnął i zamarł w bezruchu. Cisza... Już... już chciał powrócić do przerwanej biesiady, gdy wtem zaszeleściły gałęzie i długi, płowy cień w olbrzymim skoku runął wprost na niego.

Każde inne zwierzę z lęku zdrętwiałoby na ułamek sekundy i, zanim zmysły powiadomiłyby mózg, a ten dał nerwom nakaz ruchu, byłoby za późno. Wszak ryś samą wagą swych trzydziestupięciu kilogramów jest w stanie powalić słabszego trochę jelenia, a reszty dokonają w parę sekund jego straszne szczęki.

Tu jednak trafiła kosa na kamień. Lis — to nie łatwowierna, nieruchliwa sarna... Nasz Cygan w ostatnim mgnieniu oka umknął w bok trzymetrowym skokiem, poczem jeszcze jeden dalszy rzut i już go kryje zbawczy gąszcz. Ryś, chybiwszy w pierwszym ataku, chybił i w drugim, a zbyt był mądry, aby miał się łudzić nadzieją dognania w zwartym gąszczu małego, jak myśl lotnego, lisa. Więc mrucząc coś pod wąsem, zabrał się do resztek sarny.

VII. SPOTKANIE ZE ŻBIKIEM.

Pewnego dnia wygrzewał się Cygan w słonecznej dąbrowie w odległości zaledwie stu pięćdziesięciu kroków od spoczywającej gromadki dzików.

Dziwny to był dzień. Od samego rana nie było jakoś w lesie zwykłego spokoju. Już o świtaniu ujrzał Cygan gajowego, przechodzącego drogą. Nie zwrócił na to uwagi, lecz po godzinie usłyszał kroki tego samego gajowego, w górze nad sobą. To go już zastanowiło, ale postanowił przeczekać. Jakoż — człowiek przeszedł i kroki ucichły.

Po jakimś czasie delikatny słuch powiedział Cyganowi o obecności ludzi z przodu, podczas gdy z tyłu lekki wietrzyk przyniósł nikłą, choć wyraźną woń ludzką. To go zaniepokoiło bardzo. Prawda, że nie był jeszcze starym, doświadczonym lisem; nie znał przemyślnych praktyk i zasadzek ludzkich. Od młodości chował się sam, zależny życiowo od tej jedynie zmyślności, której nabyć musiał samodzielnie, bez rodzicielskich wskazówek. Oczy jednak miał szeroko na świat otwarte, dużo chytrości odziedziczył po przodkach, wiele zdołał już zrozumieć , wiele przeżył, w niejednych bywał opałach, z których wyszedł cało dzięki jedynie przypadkowi. To też dziwne rzeczy, jakie się działy wkoło niego, mocno go zaniepokoiły i zbudziły czujną ostrożność. Jak najstaranniej chwytał wiatr, nastawiał uszy, obserwował z bystrością rysia. — Wzrokiem sięgał aż w dół, do potoka, natomiast z drugiej strony miał widok zasłonięty i polegać musiał tylko na słuchu. A właśnie słuch mówił mu, że w tej stronie, w górze — też coś nie dobrego się dzieje. Najwyraźniej rozlegał się skrzyp kroków ludzkich po śniegu, po czym kroki ustały i zaległa martwa cisza. Martwa — może dla człowieka, ale nie dla lisa, wietrzącego niebezpieczeństwo; bo oto cicho, cichutko zgrzytnęło coś metalowego, jakby rozkładanie myśliwskiego stołka, potem szczęknęło coś, jak zamykanie nabijanej broni, wreszcie gałązka chrupnęła pod czyjąś nieuważną stopą.

Cygan czuł swą lisią duszę — na ramieniu. Nie szło już o to, czy zostać, czy uciec, bo był dawno zdecydowany, ale o to, dokąd uciekać? W dół przez potok? Chyba nie... Las rzadki, szeroka, odkryta droga, a głównie — rano tamtędy przechodził człowiek. W górę? Za nic w świecie! Z pewnością tam kto siedzi, ukryty za drzewem. Więc może tam, skąd zalatuje ludzki zapach? Wykluczone! czyste samobójstwo! Co będzie, to będzie! Pójdzie równolegle z potokiem — po zboczu, a stale gęstym lasem, aż do skał; w ten tylko sposób może niepostrzeżenie wymknąć się z obieży.

Ledwie postanowił, gdy wtem ozwała się trąbka, a po niej pokrzyki naganki, zgiełk, hałas nie do opisania — wzdłuż całego zbocza. Zerwał się Cygan, lecz jeszcze nie uciekał. Jeszcze łudził się nadzieją, że to nie o jego skórę chodzi, że to minie... Ale wrzawa zbliżała się — — — był w miocie, i tylko własne nogi mogą go zeń wynieść. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się pod skałami; tu zmienił kierunek i naoślep gnał przed siebie. Sto kroków przed nim rwał wystraszony zając. Cygan spojrzał nań raz i drugi, ale jakoś obojętnie. Co tam głupi szarak — wobec niebezpieczeństwa własnego życia!

W odległości dwustu kroków widzi małe wgłębienie terenu, za nim poprzeczną smugę starej dębiny. Stale tędy przechodził gajowy i to jest miejsce najgorsze. Niby nic się tam nie rusza, a jednak — — — O! ten garbaty pień! Do licha! przecież on nie był nigdy taki garbaty! Rzeczywistość, czy złudzenie? ten pień się poruszył! Ano! zobaczymy; wszak zając prosto tam wali.

Ale nie stało się nic — zając spokojnie minął zagadkowy pień! Z pewną otuchą puścił się Cygan tą samą drogą, bystro zezując wkoło i łowiąc uchem najmniejszy szelest.

Wspaniały to był widok. Puszystą kitę wlokąc po śniegu, sprężystym ruchem, bez najmniejszego wysiłku, prze-

sadzał zwalone pnie drzewne, przerzucał się przez małe potoczki i skalne rozpadliny, a w każdej sekundzie gotów zboczyć, zakluczkować, czy zaskoczyć za gruby pień. — Dążył ukośnie w górę, w kierunku gęstego porostu — jedynego zbawienia.

W tym z za drzewa, o jakie czterdzieści kroków, wysunęła się lufa strzelby. Nie uszło to oka lisa. Błyskawicznie rzucił się w prawo i rwał, co tchu w piersiach. Nie biegł już, a leciał. Kita wiewała za nim, jak proporzec. Serce biło jak młotem; lada chwila czekał śmiertelnego gromu. Jeszcze pięć skoków.... jeszcze dwa... jeszcze ten jeden... No! już jest kryty zwaloną kłodą — a tuż za nią zbawcza gęstwiną.

Strzał nie padł. Polując na dziki, nie strzela się naprzód do innej zwierzyny. — Cygan był już na najbliższej górze, gdy usłyszał za sobą kilka strzałów; to krwawą daninę płaciła rodzina starej lochy, zbyt pewnej siebie.

Gdy po kilku dniach, z wrodzonej ciekawości, a wietrząc na każdym kroku, powrócił Cygan do dąbrowy, uderzył go w nozdrza luby zapach dziczych wnętrzności. Ostrożnie zatoczył wielki krąg, a przekonawszy się, że wszędzie jest „czysto“, odważył się pójść za wiatrem. Po chwili znalazł wnętrzności, a na nich całą masę sikorek. Bez namysłu rozpędził tę gawiedź i sam zaczął ucztować.

Okazało się, że padły tu dwa warchlaki, a myśliwi na miejscu je oczyścili. Ot! na cały tydzień śpiżarnia zaopatrzona!

A może i na dłużej? — Jeden warchlak bowiem, o czym Cygan nie wiedział, był postrzelony. Zdawało się z początku, że rana jest ciężka, bo postrzałek uchodził wraz z resztą, lecz pod wieczór — zbrakło go przy obrachunku. Był zawsze słabszy — może odpoczywa — a potem po tropie nadejdzie — myślała locha — nie nadszedł i zapomniano o nim wkrótce — bo okrutne prawo przyrody nie zna litości dla słabych.

I stało się, że w dziesięć dni potem, wędrując przez Plewny szczyt, odnalazł Cygan swym czułym nosem — pod świeżą warstwą śniegu strzelonego „na miękko“ warchlaka. — Lisowi w zimie nie wolno grymasić, jeśli chce wiosny doczekać — więc bez namysłu zabrał się do przygodnej uczty.

C. d. n.



Bibliografia

W. v. Buhrmeister Eymern: 15.000 km nach Osten. — Verlag von J. Neumann — Neudamm 1936.

Autor opowiada swe przygody myśliwskie i inne w Sowietach, gdzie przebywał od r. 1926 do 1933, w służbie tamtejszego rządu, jako poważny fachowiec w sprawach lasowych.

Książkę Buhrmeistra czyta się jednym tchem, bo też umie on opowiadać tak żywo i barwnie, że czytelnik przeżywa z nim razem opowiadane przezeń przygody.

Przebywał on w różnych częściach Rosji europejskiej i Sybiru, ale jego opowiadania wzięte są tylko z przeżyć, jakich doznał w tzw. obwodzie Ussuri, położonym nad dolnym Amurem, na Kamczatce i w Ałtaju. Polował on tam z powodzeniem na niedźwiedzie, wilki, dziki, jelenie marale, na reny i owce górskie, a nie pogardzał też polowaniem na ptactwo. W kraju Ussuri zastrzelił dużego lamparta, którego „zwabił“ przypadkowo, wabiąc przyrządem Buttolo rogacza.

Z tygrysami miał też dwa emocjonujące spotkania, do strzału jednak na te największe felidy nie doszedł. Prawdziwą masakrę urządził natomiast w Ałtaju wilkom, które się tam uganiały w kilku niebezpiecznych, bo zgłodniałych gromadach. Ofiarą takiej gromady padł tam wtenczas jakiś sowiecki komisarz z żoną i dwojgiem dzieci. — Odsiecz w osobach autora, naczelnika odnośnej wsi altajskiej i jego syna, przyszła wprawdzie za późno, ale jej rezultatem było ubicie 13 wilków i zmuszenie gromady do odwrotu. Z tej samej gromady w dniu następnym odstrzelono w obławie jeszcze 9 sztuk, a wreszcie z niej także autor odstrzelił jeszcze 3 sztuki, używszy, znanego i u nas dawniej, sposobu polowania ze sań przy pomocy kwiczącego prosiaka.

Dowiadujemy się z książki Buhrmeistra, że niedźwiedzie występują na Kamczatce i w ogóle w Syberii zawsze jeszcze bardzo licznie, a to niewątpliwie dlatego, że władze, które od zawodowych myśliwych wykupują skóry zwierząt futerkowych, płacą specjalnie za skóry niedźwiedzie tak mało, że się nie opłaca ich strzelanie i trud połączony z obielaniem i suszeniem ich skór.

Zupełnie natomiast inaczej jest z sobolami. Ich skórki sprzedaje rząd sowiecki drogo do Stanów Zjednoczonych, a przeto nakłada na zawodowych myśliwych ścisłe, a wysokie kontyngenty dostarczyć się mających skórek. Dostarczenie tak nałożonego kontyngentu jest nieraz bardzo trudne, gdyż sobole są już na Kamczatce znacznie przerzedzone. Autor przy pomocy umiejętnie nastawianych żelaz dopomógł dwom kamczatskim myśliwym do dostarczania 30 skórek, których zażądano od nich jako podatku domowego, a których nie dostarczenie, byłoby ich naraziło prawdopodobnie na zesłanie do jednego ze strasznych obozów koncentracyjnych, bo byli oni politycznie źle zapisani i podejrzani o sabotowanie zarządzeń władz.

Z prawdziwą mestrią opisuje autor krajobraz, warunki klimatyczne i florę Kamczatki, która ma być nader malowniczą ze swymi licznymi wulkanami, lecz która właśnie w związku z ich aktywnością ulega ustawicznym trzęsieniom ziemi. Do tych, choć nieraz potężnych wstrząsów, są jednak tamtejsi mieszkańcy przyzwyczajeni, a ich budynki mieszkalne i gospodarcze nie wiele od nich cierpią, gdyż potrafiono tam budownictwo drewniane doskonale do tego dostosować.

Opowiadania Buhrmeistra cechuje zdrowy, niefrasobliwy humor, który jednak często przechodzi w gryzący sarkazm. Ofiarą tego sarkazmu autora padają najczęściej władze sowieckie, ze swymi zarządzeniami na polu społecznym i gospodarczym. Na takim właśnie tle doznał autor jednej z najciekawszych swych przygód. Mianowicie wobec zbliżającej się zimy zażądał on od władz sowieckich, urzędujących w Petropawłowsku, ciepłych futer dla ludzi zajętych pod jego ręką wyrąbem lasów modrzewiowych. Żądaniu temu odmówiono, a gdy autor zapro-

ponował, że się za futrami sam wyprawi do Lamutów, ludu myśliwskiego, osiadłego na północ od Kamczatki, to nie tylko, że mu tego zabroniono, lecz mu zagrożono przeciwstawieniem się takiej wyprawie z bronią w ręku. Przyczyną takiego stanowiska władz było to, że one wyroby futrzane od Lamutów same za bezcen wykupują, a potem je zagranicę drogo sprzedają. Autor przed pogróżkami się nie cofnął, do kraju Lamutów udał się w dziewięć sań, z których każdą ciągnęło 12 psów, a przebywszy tam i z powrotem 1600 km, przyodział swych robotników w gotowe, ciepłe futra. Pościg za nim rzeczywiście zorganizowano ale tak późno, że do spotkania nie doszło. Gdy autor postawił władze sowieckie wobec faktu dokonanego, dały one tej sprawie upaść, zwłaszcza, że im wkrótce wykazał, że zwiększywszy sprawność swych ludzi przez ciepłe ich przeodzianie, potrafił dostarczyć 75.000 m. kub. modrzewiu, zamiast preliminowanych na ten rok 60.000.

Charakterystyczną, a dziś rzadko w podobnych wydawnictwach spotykaną rzeczą jest to, że książka Buhrmeistra nie zawiera fotografij. Jakkolwiek autor o tym wyraźnie nie wspomina, należy się domyślać, że nie było mu wolno posługiwać się aparatem fotograficznym, wobec podejrzliwości władz sowieckich. Brak ten wynagradzają sowicie wspaniałe drzeworyty, które w liczbie 30-tu są w książce zamieszczone, a to według rysunków M. Kiefera z Monachium. Rysunki te więc nie pochodzą od autora, ale należy przypuszczać, że on nad ich wykonaniem czuwał i dawał artyście ciągłe wskazówki, mimowoli się bowiem odczuwa, że przedstawione nimi sceny, powinny były tak właśnie wyglądać, jak zostały narysowane.

Druk książki jest staranny, czcionki duże, gotyckie, papier wyborowy.

Chcąc dać naszym czytelnikom próbkę talentu naratorskiego Buhrmeistra, zamieszczamy poniżej jeden ustęp z jego książki w tłumaczeniu inż. T. Sroczyńskiego.

A. Sander

Na granicy parku przyrody

Założenie parku przyrody a raczej rezerwatu w Ussuri, było jedynym, celowym środkiem, zapobieżenia zupełnemu wyniszczeniu zwierzyny, co w Rosji europejskiej już nastąpiło. Zarządzenie to rządu sowieckiego, nie wynikło jednak z rzeczywistej chęci ochrony zwierzyny łownej, lecz z chęci małpowania Ameryki i wykazania światu kulturalnych poczynań bolszewickich.

Rosyjski chłop myśliwy, któremu wolno teraz wszędzie polować, nie dba zupełnia o czas ochronny, i wali ze swego niebezpiecznego koromesła, do wszystkiego co chodzi i lata. Jest głodny i idzie na mięso jak głodny wilk.

Tutejszy rezerwat jest niestety mały, o powierzchni zaledwie 16.000 ha i zajmuje jedną dolinę z otaczającymi ją górami. O całość i bezpieczeństwo zwierzny ma dbać 12 dozorców, posiadających znacznie większe upoważnienia, niż reszta personelu lasowego. Wolno im robić użytek z broni na wypadek, gdy kłusownik na zawołanie bezzwłocznie posiadanej broni nie rzuci. W terenach wolnych sprawa przedstawia się inaczej i zarządy lasów dawno przestały walczyć z plagą kłusownictwa.

Charakterystycznym jest następujący wypadek. W autonomicznym okręgu Syrjanów, plemienia pokrewnego Finom, osiadłego na północno wschodnich kresach Rosji europejskiej, czterech kłusowników, w kwietniu 1928 roku, goniło na nartach na zeskorupiałym śniegu, 64 łosi tak długo, aż nieszczęsne z pokaleczonymi badylami zwierzęta, dalej uciekać nie mogły. Tych 64 łosi zabili następnie siekierami. Chodziło tu zasadniczo o klępy i młode łoszaki. Kłusowników schwytał nadleśniczy i oddał władzom sądowym. Wyrok opiewał: „Każdy z kłusowników skazany jest na zapłacenie jednego rubla kary i otrzymuje publiczne upomnienie". Wprost nie do wiary a jednak prawdziwe. Byłem osobiście na rozprawie jako inspektor lasowy i wniosłem odwołanie, druga instancja jednak sprawy dalej nie prowadziła.

Wracajmy jednak do milszych wspomnień. Rezerwat graniczył z trzech stron z nadleśnictwem Słowianka, z czwartej z oceanem spokojnym. Tak drapieżniki, jak i zwierzyna użyteczna, przekonały się szybko, że rezerwat stanowi cichą i spokojną ostoję, i stale przebywały tam grube jelenie. Wobec powyższego można było mieć w pobliżu granicy rezerwatu dobre spotkania. Jakie ½ kilometra od mej siedziby, zaczynały się zalesione wzgórza, wznosząc się coraz wyżej. Grzbietem gór wysokich 600 do 800 m biegła granica parku, nie dalej jak 15 km od mego miejsca pobytu.

Wolno kroczyłem w półmroku pięknego październikowego poranku, pod górę, zatrzymując się czasami — nadsłuchując. Mijałem wiele przesmyków, aż trafiłem na taki, który się piął prosto w górę. W tym coś się na przesmyku ruszyło, jednak jest zbyt ciemno, by rozpoznać co. Zatrzymałem się przekręcając bezpiecznik. Niewyraźny zwierz zbliża się na jakich 30 kroków i widzę potężnego odyńca. Jednak i on, mimo dobrego wiatru, musiał mnie zauważyć, potężnym susem rzuca się w gąszcz, łamiąc susz i krzaki.

Przesmyk, którym się obecnie posuwam, wije się licznymi zakrętami w górę. Robi się coraz widniej. Masami tropów sarn i jeleni. Chwilami mam prześliczny widok na głębokie doliny i wysokie góry, które swym kształtem wskazują na wulkaniczne pochodzenie. Z wyższych partii widzę błyszczącą w blaskach wschodzącego słońca, taflę oceanu spokojnego. Spotykam dużo dobrych rogaczy, z jeleniami jednak na razie nie mam spotkania.

Po nie długim czasie ujrzałem po prawej stronie w zaroślach nad młodnikiem dębowym, jeden, drugi, trzeci wieniec i czwarty kapitalny. Serce wali mi jak młotem. Co to za wieniec!

Drogę moją przecina przesmyk prowadzący w dolinę i tym przesmykiem idą byki. Odbezpieczyłem sztuciec i zamarłem w bezruchu. Mija minuta po minucie a mnie się zdaje, że to wieki mijają. W tym wychodzi pierwszy byk, zatrzymał się chwilę objadając jakieś gałązki i wolno schodzi w dolinę. Był to dobry dziesiątak. Tuż za nim przeszedł drugi dziesiątak i bardzo dobry dwunastak, potem oczekiwanie nie do zniesienia. Gdzie do pioruna

podział się kapitalny i już zaczynałem wątpić, czy co z tego będzie. Nagle stanął przede mną na jakich 30 kroków, patrząc spokojnie w stronę towarzyszy. Dreszcz mi przeszedł po krzyżach — taki wieniec widzi się raz w życiu. Chwilę spoczęła srebrzysta muszka na komorze i padł strzał. Wzniosły się w górę przednie badyle wspaniałego byka, i z łomotem rzucił się w dolinę śladem poprzednich byków. Z mego miejsca widziałem wszystko najdokładniej. Pierwsze byki były już na dole, skręcały w prawo, ginąc mi z oczu, a mój kapitalny przewalił się na samym zakręcie.

Drżącymi rękami nabiłem fajkę, zmieniłem nabój i zacząłem schodzić. Gdy stanąłem nad martwym bykiem, ogarnęła mnie szalona radość. Regularny czternastak o pniach grubości ramienia, ale bez korony, widocznie z rodziny wapiti, tu maralem zwany. Po dokładnym obejrzeniu wieńca, przebiłem byka i udałem się na dalszy podchód.

Według zapatrywań tutejszych myśliwych, popełniłem grzech śmiertelny, gdyż zawodowy myśliwy tutaj, strzela jelenia jedynie gdy ma wieniec w scypule. Wieniec taki najpierw się suszy, następnie miele i za drogie pieniądze sprzedaje Chińczykom. Proszek ten zmieszany z jakimiś ziołami, ma zdaniem chińskich „lekarzy“ cudownie działać na zanikający popęd płciowy. Według lekarzy europejskich ma to być zwyczajną bujdą i może mają rację a na Chińczyka działa jedynie sugestia. Teoretycznie coś by na tym jednak mogło być, gdyż rozwój jelnenia, stoi w pewnym stosunku z jego płodnością. Osadzanie wieńców wstecznych, jest w łączności z osłabieniem płodności byka skutkiem starości. Zresztą faktem jest, że medycyna tybetańska, posiada wiele tajemnic ukrytych przed lekarzami europejskimi.

JÓZEF JABŁONOWSKI

Ocena trofeów łowieckich

Ocena trofeów łowieckich to sprawa piekąca, którą należy jak najszybciej rozwiązać. Wstyd doprawdy, by w kraju wspaniałych trofeów i dobrych myśliwych, trzeba było zapożyczać formułki u obcych, tym bardziej iż zasady obecnie wiążące nie zadawalają nikogo.

Pragnę ze swej strony w tej sprawie parę słów dorzucić. — Uważam, że wszystkie dotychczas obowiązujące oceny i projekty nowych (z wyjątkiem projektu Prof. Dra Sołowija) nie załatwiają sprawy. Formułka dająca punktacje, nie może być długa i zawiła, bo utrudnia to ogromnie pracę sędziów i nie daje obrazu trofeum.

Gdy mi ktoś powie, że zabił odyńca, którego szable miały taką długość przy takiej szerokości, wiem odrazu jaki to był odyniec. Nic natomiast wiedzieć nie będę z punktacji tychże szabel, uzyskanej po żmudnym obliczeniu. Wiek starczy zwierza nie powinien odgrywać roli; trofeum jest wtedy najpiękniejsze, gdy daje je zwierz w pełni rozwoju. Każdy będzie wolał zdobycz z pięknego regularnego np. szesnastaka, niż ze starego o zwykle brzydkim wieńcu wstecznika.

Przy ocenie szabel dziczych nie stawiałbym ich nigdy na równi z fajkami, gdyż moim zdaniem szable stanowią trofeum a fajki tylko dodatek. Przy tej okazji pragnę zaznaczyć, że wielu myśliwych popełnia ten błąd, iż sądzi, że powierzchnia starcia szabel jest dowodem wieku odyńca, gdy tymczasem tak nie jest. Powierzchnia starcia bowiem zależy od kąta nachylenia szabli do fajki, również na długość szabel wiek nie musi wpływać, a jedynie na ich szerokość

Nie upieram się przy swym zdaniu, ani nie podaję swego projektu. Rzuciłem parę uwag w nadziei, że pomogą, względnie zostaną wzięte pod uwagę przy ostatecznym rozwiązaniu sprawy; natomiast proponuję by wybrać myśliwego, który zna równie dobrze teorię jak i praktykę, a dobrawszy sobie współpracowników, ułoży ostateczną ocenę. Takim myśliwym jest Pan Albert Mniszek. Świetny myśliwy, znawca naszej przyrody i łowiectwa, sędzia na tylu wystawach łowieckich, daje pełną gwarancję, że ocenę ułoży fachowo i tak jak powinna być ułożona.

Proszę wszystkich myśliwych czytających „Łowca“ o wypowiedzenie się w tej sprawie; czas nagli gdyż jeśli mamy wystąpić w tym roku na wystawie światowej w Berlinie, musimy mieć swoją ocenę; eksponaty powinny być wysłane tam na podstawie tej nowej oceny, prawdziwie fachowej, którą potrafimy uzasadnić.

Korespondencje

Dnia 6 i 7 listopada 1936, odbyło się w Wiszence (pow. Gródek Jagielloński) w lasach p. Jana Stanka polowanie w 14 strzelb przy słonecznej i ciepłej pogodzie.

Ubito: 13 lisów, 117 zajęcy, 2 jarząbki, 3 słonek i 4 kuropatwy. Dzików niestety nie spotkaliśmy, choć spodziewano się ich w kilku miotach. W kniei wiszeńskiej i okolicznych, było w ub. roku bardzo dużo dzików, porobiły one w ciągu lata ogromne szkody na polach i jeżeli się je nie przetępi dostatecznie, szkody będą katastrofalne. Stan zajęcy i lisów jest w Wiszence bardzo dobry, dzięki pomyślnemu rokowi, a szczególnie dzięki doskonałej opiece i hodowli młodego gospodarza, który nadzwyczaj sprawnie prowadził polowanie, wykazując duże znawstwo i zamiłowanie łowieckie.

Dr. Stanisław Tyszkiewicz
Delegat M. T. Ł.

Dnia 30 grudnia 1936, odbyło się polowanie w Leśniowicach, pow. lwowski, u pp. Janostwa Madeyskich w 9 strzelb. Na rozkładzie 145 zajęcy w 10 leśnych miotach przy pięknej mroźnej pogodzie. — Jeżeli się doda, że parę miotów nie opolowano, jako rezerwę na rok przyszły, że flanki były nieobstawione, że cały lasek Leśniowicki ma 250 morgów, to chyba oczywisty dowód, że ten zupełnie nieoczekiwany przepiękny rezultat, to zasługa wyłączna gospodarza, zamiłowanego hodowcy-myśliwego, który to piękne łowisko otacza troskliwą i rozumną opieką. — On też wzorowo prowadził polowanie. Najwięcej ubił Andrzej Madeyski — 26 zajęcy.

Darz Bór na rok 1937. K. G.

Lwów, w styczniu 1937.

W dniach 14 i 15 grudnia, polowaliśmy w Tryńczy w powiecie przeworskim u Dr Mariana Nowińskiego. W dniu pierwszym ubito w 16 strzelb w trzech miotach leśnych i pięciu kotłach, 224 zajęcy, w drugim w dziesięciu miotach leśnych i w trzech kotłach, 200 zajęcy, lisa i bażanta. W miotach leśnych w drugim dniu impono-

wała ogromna ilość sarn, zbijających się kilkakrotnie przed linią myśliwych w rudle po 30 sztuk.

Polowanie prowadził znakomicie właściciel osobiście. Piękne co-roczne rezultaty polowań w Tryńczy są wynikiem pieczołowitości gospodarza, który w szczególności nie szczędził, gdy chodziło o zaokrąglenie terenu własnego polowania terenami polowań sąsiednich spółek łowieckich, które wszystkie dość drogo dzierżawi.

Miła atmosfera polowań w Tryńczy tak w polu jak w nader gościnnym domu Państwa Nowińskich pozostawia u uczestników niezatarte wspomnienia. A. Sander.

Łany Sieleckie, 27 grudnia 1936.

Dnia 21 i 22 XII 1936 r. polowano w Kulawie u pp. Jerzostwa Sikorskich, powiat żółkiewski. Pierwszy dzień w polu w 8 strzelb dał na rozkładzie 1 lisa i 154 zajęcy, drugi dzień w lesie w 14 strzelb — 1 lisa, 1 cietrzewia, 58 zajęcy, razem 2 lisy, 1 cietrzew i 212 zajęcy.

Przepiękny ten rezultat, to owoc troskliwej i przemyślanej opieki właściciela, zamiłowanego hodowcy, który parę lat temu objąwszy majątek Kulowę, miał u siebie literalnie parę zajęcy — dzisiaj, to jedno z najpiękniejszych łowisk tego ubogiego w zwierzynę powiatu. Polowanie idealnie przez właściciela prowadzone, piękna choć jesienna zupełnie pogoda, staropolska, w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu gościnność, mały skład drużyny z królem p. A. Makomaskim (33 zajęcy) na czele, oto polowanie w Kulowie. K. G.

Łany Sieleckie, 13 stycznia 1937.

Dnia 11 stycznia b. r. polowano w Sielcu Bieńkowym pp. Kazimierza i Andrzeja Bartmańskich w 12 strzelb przy pięknej mroźnej pogodzie — wzięto 3 mioty polne i 10 leśnych; na rozkładzie 140 zajęcy, 1 jastrząb-gołębiarz. Królował Stefan hr. Wodzicki — 19 sztuk. Polowanie wzorowo prowadził p. Andrzej Bartmański, którego też bardzo troskliwej i umiejętnej opiece mamy do zawdzięczenia piękny ten rezultat. Prawie w każdym miocie widziano sarny. K. G.

Upraszamy o treściwe sprawozdanie z odbytych polowań.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. odbytego w dniu 11 listopada 1936.

Przewodniczył Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: Albert Mniszek i Adam hr. Starzeński; członkowie Wydziału: prof. Dr St. Gajewski, St. Jaśkiewicz, St. Pieńczykowski, Dr J. Rosienkiewicz, prof. Dr A. Sołowij, Dr E. Skowroński, inż. T. Sroczyński, Br. Welczer i A. hr. Zaleski, tudzież zaproszony członek hon. Towarzystwa A. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili: Z. Gronziewicz, A. Ks. Lubomirski, Dr. Fr. Piechowski, Wł. Puchalski, inż. Z. Sander i Dr. W. Ziembicki.

Tematem obrad była sprawa likwidacji Jubileuszowej Wystawy Łowieckiej, przy czym stwierdzono ogromną zasługę inż. T. Sroczyńskiego około jej urządzenia.

Przyjęto pisemnie przedstawione wnioski prof. Dra Ziembickiego, dotyczące rewindykacji zebranego w r. 1926 materiału dla geografii rozmieszczenia zwierząt łownych w Polsce, rozpoczęcia prac około rzeczowego i imiennego indeksu „Łowca" od początku jego istnienia, i ogłoszenia w „Łowcu", że biuro Towarzystwa będzie udzielało odpowiedzi na zapytania w sprawach nomenklatury gatunków zwierząt, rozpoznania okazów rzadkich u nas ptaków, w sprawach broni, amunicji itp. Odpowiedzi opracowane będą przez fachowców odnośnych działów wiedzy łowieckiej.

W poczet członków Towarzystwa przyjęto pp.: Stanisława Agopsowicza, Andrzeja Horodyskiego, St. Wiktora Orskiego, Jana Wiktora i Dr. Krzysztofa Wize.

Rezygnacji Stanisława Zawidowskiego z godności delegata nie przyjęto, delegatowi Janowi hr. Gołuchowskiemu udzielono rocznego urlopu z powodu powołania go do służby wojskowej.

Nadano medale zasługi M. T. Ł. przod. P. P. Michałowi Słobodziukowi i leśnemu Dyziowi Pantaleonowi.

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. odbytego w dniu 27 listopada 1936.

Przewodniczył Prezes J. hr. Bielski, obecni: wiceprezes A. Mniszek, członkowie Wydziału: Prof. Dr. St. Gajewski, St. Pieńczykowski, Dr J. Rosienkiewicz, Prof. Dr A. Sołowij, Dr E. Skowroński, Inż. T. Sroczyński, zastępca inż. Z. Sander i zaproszony A. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili W. hr. Gołuchowski, A. Ks. Lubomirski, A. hr. Starzeński, Prof. Dr Ziembicki i zaproszony na to posiedzenie Dr. A. Lardemer.

Wiceprezes Mniszek, tudzież inż. Sroczyński i A. Sander zdali sprawę z konferencji, jaką odbyli kilka dni przedtem z wiceprezesem P. Z. St. Ł. gen. dyw. K. Fabrycym w sprawie reorganizacji Związku i stanowiska M. T. Ł. w tej sprawie.

W poczet członków Towarzystwa przyjęto Eustachego br. Horocha, delegatem w powiecie trembowelskim zamianowano Bohdana Zienkowicza.

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. odbytego w dniu 18 grudnia 1936.

Przewodniczył Prezes J. hr. Bielski, obecni wiceprezes A. Mniszek, członkowie Wydziału Z. Gronziewicz, St. Jaśkiewicz, St. Pieńczykowski, prof. Dr A. Sołowij, inż. T. Sroczyński, A. hr. Zaleski, zastępcy: St. Longchamps i inż. Z. Sander i zaproszony A. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili: Dr St. Gajewski, W. hr. Gołuchowski, A. Ks. Lubomirski, Dr. Fr. Piechowski i Dr W. Ziembicki.

Przyjęto do wiadomości pisemną rezygnację Dr. E. Skowrońskiego z funkcji sekretarza Wydziału i uchwalono wyrazić mu podziękowanie za jego pracę w tym charakterze przez półtora roku.

Przeprowadzono dyskusję w sprawie reorganizacji Polskiego Związku Łowieckiego na podstawie otrzymanej wiadomości, że nowy statut Związku został przez władze zatwierdzony.

W poczet członków Towarzystwa przyjęto: Adama Gorayskiego, Emila Jędrzejowskiego, Kazimierza Komornickiego, Dr Juliana Kuryłowicza i Jana Ulma.

Delegatem w powiecie krośnieńskim zamianowano Adama Gorayskiego.

SPROSTOWANIE I UZUPEŁNIENIE

W pracy mojej: Ostatnie Łowy Batorego („Łowiec" Nr. 1, 1937) pozostały następujące błędy drukarskie, które należy sprostować:

Str. 2, szpalta 2, wiersz 1 od dołu (licząc tekst z opuszczeniem przypisów):

zamiast: uczyniłem tu tylko jedno zastrzeżenie,
ma być: uczyniłbym tu tylko jedno zastrzeżenie.

Str. 3, szpalta 2, wiersz 6 od dołu:

zamiast: wychowani **na** tamtejszym klimacie,
ma być: wychowani w tamtejszym klimacie.

Str. 5, szpalta 1, wiersz 8 od dołu:

zamiast: straciwszy cały dzień na łowach,
ma być: strawiwszy cały dzień na łowach.
zamiast: trzaskającego mrozu,
ma być: trzaskącego mrozu.

W przypisie 13, na str. 4: zamiast Aquiol,
ma być Aquilo.

Co do umieszczonej w mej pracy podobizny Stefana Batorego, podaję w uzupełnieniu, że według hipotezy T. Mańkowskiego portret ten, należący dziś do Muzeum im. Króla Jana III we Lwowie, wykonany został przez malarza lwowskiego, Wojciecha Stefanowskiego. Zob. Mańkowski T., Lwowski Cech Malarzy w XVI i XVII wieku, Biblioteka Lwowska Tom XXXVI Lwów 1936, str. 34 itd. Witołd Ziembicki.

TREŚĆ NUMERU 2:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50